

Kronika

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 10 Rok I

ŁÓDŹ, 16—30 WRZEŚNIA 1955

Cena zł 1.20

EDWARD SZUSTER

Maniactwo czy metoda?

NIE ulega wątpliwości, że w pewnych kołach naszego społeczeństwa daje się ostatnio zauważyć wydatny wzrost zainteresowania sprawami polityki międzynarodowej, a nawet—wyraża ona ofensywność dyskusyjną w tej dziedzinie. Ludzie, którzy pół roku temu ostentacyjnie unikali rozmów o polityce, dając do zrozumienia, że te nudne sprawy nie powinny zaprzętać wolnego umysłu — teraz, przy łada okazji, skłonni są do omawiania tych zagadnień i namietnego ich komentowania. Można by cieszyć się tym zjawiskiem i z dobrodziejstwem inwentarza przyjąć je, jako pożądany objaw politycznej aktywizacji środowisk stroniących dotychczas od polityki. Bliższe jednak wsluchanie się w te głosy budzi wątpliwość, czy aby na pewno ów wzrost zainteresowania się problematyką polityczną jest zjawiskiem całkowicie pozytywnym.

O czym bowiem rozprawiają namietnie podnieceni znawcy mechanizmu światowej polityki? Stwierdźmy przede wszystkim, że w umysłach tych ludzi serwis ofiarowany przez prezydenta Eisenhowera w prezencie ślubnym córce marszałka Żukowa oraz wspólna przejażdżka ministra Mikołajana i ambasadora USA w Moskwie motorówką urastają do rozmiarów ewenementów politycznych, świadczących o wejściu świata na nowe zgoła drogi. Stwierdźmy następnie, że cały zespół faktów i wydarzeń charakteryzujących pogonewskie dążenia do pokojowego współistnienia narodów i ustrojów — ludzie wykwinęli chętniej używają słowa: koegzystencja — oceniany jest w tych rozmowach, jako rezultat „dialektalnego zwrotu” w polityce zewnętrznej ZSRR. Stwierdźmy po trzecie, że owi domorośli politycy wierzą głęboko, jakoby ta domniemana a zasadnicza rewizja metod i celów działania polityków radzieckich dokonana została pod naciskiem radzieckich mas ludowych tęskniących do demokratyzacji swego życia. Zdaniem nich, co prawda, między naszymi kawiarnianymi politykami, ludźmi ocytanymi, owe uczucia mas radzieckich ujawniać mają ostatnie powieści Erenburga, Niekrasowa i Panowej.

Przyjrzyjmy się bliżej owym tezom, zobaczmy — zaczynając od literatury — ile w nich prawdy? Na pewno i „Odwilż”, i „W rodzinny miasteczko”, i „Pory roku” są w swej istocie polemiką artystyczną ze sztampą w rysowaniu ży-

cia ludzi radzieckich, sztampą poważnie rozpanoszoną w radzieckiej powieści współczesnej. Wielu autorów pokazywało życie i ludzi swego kraju jako bezzwzględnie doskonale osiągnięcia; czytelnikowi sugerowali oni, że ustroj komunistyczny likwiduje wszystkie konflikty życiowe. Natomiast Niekrasow w swej powieści mówi o zastużonych frontowcach, którzy wykoleili się i nie mogą wrócić do normalnego pokojowego życia; Panowa daje postać kobiety — przewodniczącej Rady Miejskiej, członka partii, która jednak nie potrafiła wychować swego syna; Erenburg rysuje sylwetkę doświadczonego i sprawnego dyrektora wielkiej fabryki, będącego jednak marnym, nieciekawym człowiekiem. Wszyscy ci autorzy starają się głębiej, odważnie pokazać skomplikowane i wieloznaczne twarze swych powieściowych postaci, przypominają, że proces wychowania człowieka radzieckiego trwa. Zapomniała o tym znaczna część radzieckich pisarzy idealizując i zubożając jednocześnie swych bohaterów; dostrzegł to czytelnik radziecki domagając się pełniejszego, bogatszego obrazu życia w literaturze. Takiemu właśnie zamówieniu społeczeństwu starają się sprostać i Erenburg, i Niekrasow, i Panowa. Konia z rzedem temu, kto wskaże w „Odwilży” i „Porach roku”, czy „W rodzinny miasteczko” elementy buntu, protestu przeciw zasadom życia ludzi radzieckich. Jest w tych książkach krytyka wypaczeń i błędów nieodłącznych od praktyki życiowej, ale od stwierdzenia: „nie wszystko jeszcze u nas dobre i piękne” do okrzyków: „dosyć tego — trzeba zupełnie inaczej” — droga daleka. Mądry, stary Dickens powiedział już dość dawno, że patriotą — to człowiek nie bardzo zadowolony z tego, co się dzieje w jego ojczyźnie, pragnący, by działało się lepiej. Taka właśnie patriotyczna postawa ujawnia się — lepiej lub gorzej — we wspomnianych utworach; nie znajduje w nich na pewno wyrazu „nacisk radzieckich mas ludowych tęskniących do demokratyzacji swego życia”.

Skądże więc czerpią swą wiedzę o tajnych pragnieniach ludzi radzieckich kawiarniani politycy? Wydaje się, że albo ze swego wielkiego palca, albo... Ale o tym — potem. Tymczasem stwierdźmy jedynie, że jakoś zupełnie szczególnie musi wyglądać to „niedemokratyczne” życie ludzi radzieckich, skoro — jak o tym donosiła prasa radziecka — do ZSRR wróciła niedawno

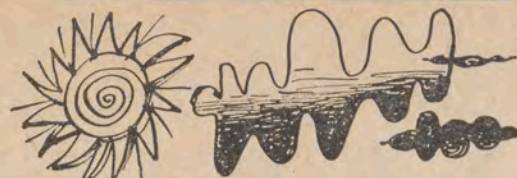
grupa białych emigrantów z roku 1918. W świetle takich faktów — wątpliwym wydaje się nam istnienie w Związku Radzieckim owego „gniewu ludu”, który wymusić miał „dialektalny zwrot” w polityce KC i Rządu. Może jednak, zająwszy się bliżej tym „zwrotem”, zgodzimy się z aktywowanymi ostatnimi czasami amatorami rozmów „de publicis”?

Dialektalny zwrot oznacza w języku polskim zasadniczą zmianę trybu postępowania. Wyznawcy teorii o takim właśnie zwrocie w polityce ZSRR sugerują więc, że pracujący pod przewodnictwem Bułganina i Chruszczowa kolektyw radzieckich polityków dokonał zasadniczej rewizji metod i celów swego działania. Słowem, poglądy ludzi, o których mówimy, sprowadzają się do takiej kwintesencji: odrzucenie zasad dotychczasowej polityki przez Rząd ZSRR i KC KPZR umożliwiło światu przejście do ery pokojowego współistnienia narodów i ustrojów. Z tego wniosku, że poprzednia polityka Związku Rad uniemożliwiała praktykę koegzystencji. (W rozumieniu naszych polityków od siedmiu boleści „poprzednia polityka” to po prostu ta polityka, którą realizował zespół ludzi pracujących pod przewodnictwem Stalina). Na poparcie tej teorii pokrzykuje się o „sprawie lekarzy”, „berio-wszczyźnie”, „błędzie jugosłowiańskim” a nawet o „sytuacji w radzieckiej literaturze i sztuce”.

Wszystkie te sprawy — będące zresztą różnymi obliczami tego samego zjawiska — znane są doskonale całemu światu z oficjalnych wypowiedzi czołowych polityków ZSRR i fakt ten ma niemałe znaczenie — o tym chyba nikt nie wątpi. Różnice zdań występują dopiero wówczas, gdy spróbujemy określić, czemu to oficjalne, publiczne ujawnienie nadużyć niektórych działaczy radzieckich (Beria, Abakumow) oraz błędów politycznych wystających na głębie nadużyć, ma tak doniosłe znaczenie. Nasi kawiarniani politycy traktują te oświadczenia jako objaw „dialektalnego zwrotu” w polityce radzieckiej; my — jako oznaki pogłębiania, doskonalenia, konsekwentnej i tradycyjnej polityki, oczyszczania jej z nadużyć i błędów. Kto ma rację? Rację mają chyba ci, których sądy znajdują potwierdzenie w praktyce życiowej, czyli — po prostu — w rozwoju historycznych wydarzeń.

Polityka „pokojowej koegzystencji” jest czymś zgoła nowym w praktyce radzieckiego państwa — wołają ostatnio zaktywizowani politykierzy. Nawet oni nie mogą jednak twierdzić, że państwo radzieckie budowali ludzie skłonni do politycznego awanturnictwa; nawet oni przyznają, że — przeciwnie — ludzie ci, a przede wszystkim Lenin, gruntownie, na wzór sumiennych inżynierów, analizowali możliwość praktycznej realizacji swych zamierzeń. Długotrwała dyskusja na temat leninowskiej tezy o możliwości budownictwa socjalizmu w jednym kraju, a więc o możliwości pokojowego współistnienia różnych ustrojów, świadczy, jak głęboko i poważnie traktowano to zagadnienie w ZSRR. Wiadomo, że teza leninowska zwyciężyła i w dyskusji i w praktyce, że czołowymi jej zwolennikami byli: Stalin i jego współpracownicy. O tym, że mieli rację świadczy cały międzywojenny okres pokojowego współistnienia ZSRR i krajów kapitalistycznych, świadczy o tym przymierze ZSRR z USA i Wielką Brytanią w okresie wojny z niemieckim, włoskim i japońskim faszystem. Słowem: zasada pokojowego współistnienia ustrojów leży odtąd u podstaw polityki zagranicznej ZSRR. Właśnie Stalin był owej polityki realizatorem, on właśnie przypominał jej podstawowe treści w jednym ze swych ostatnich wywiadów prasowych z dnia 3. 4. 1952 roku. W tej sytuacji, gadanina o „dialektalnym zwrocie” w polityce realizowanej przez Bułganina i Chruszczowa świadczy o analfabetyzmie politycznym albo... Ale o tym — potem. Tymczasem zobaczmy, gdzie istotnie znajdują się źródła tego niewątpliwego przecieć odprężenia w międzynarodowej sy-

(Dokończenie na str. 5)



STANISŁAW PIĘTAK

Nad Dolnym Donem

Zapewne — znam piękniejsze zakątki ziemi.
I Don i Morze Azowskie tu blisko,
a nie czuć wcale zapachu ochładzającej wody.
Więc kiedy wiatr od łądu dmie,
zasypuje usta i oczy kurzem jak niewygasłym popiołem.

Ja kocham inne wsie,
spoczywają i dziś na węgłowiach zielonych łąk,
u boku Wisły szerokiej, która tocząc obłoki, chmury, gwiazdy,
słońce
łagodną falą na północ się niesie...

Lecz jak nie schylić czoła przed tym młodym krajem.
Jeśli kiedyś był cień na stepie,
to był jedynie cień przelatującego, drapieżnego ptaka,
lub cień rozszalałego w ucieczce czy w pogoni jeźdźca.
Sucha ostra trawa raniła zwierzę i człowieka,
wznagając w ich ciałach mękę i pragnienie...

Gdzie niósł się ogień suszy i swąd spalonych ziół,
dziś rozłacza się równina żyzna,
bez przerwy wzburzona płodami,
nadzieją ciągłych roślinnych narodzin.
Niedawno zwieziono pszenicę,
a już nowa wśród roli kielkuje,
piórkami listków przeży się ku światłu.
Trzymają nad nią straż gaje ochronnej zieleni,
biegnące śródkiem pól to dalekimi horyzontami.
Akacje lekkie, osiki czule, wierzby siwolistne,
w niebie bladym szukające ciszy jak w jeziorze.

Nie pięknie jeszcze tu, lecz będzie pięknie,
bo uporeczywy i mądry jest trud radzieckich ludzi.
I rozrosną się, wybijają zasadzone drzewa,
domy i ulice zanurzą się w szumiącym, wonnym cieniu.
Głośniej stanie się od śpiewu ptaków, śpiewu dziewcząt,
śmiechu dzieci...

Właśnie zdarza się przyjazna chwila.
Para czerwonych wołów wyrwała wóz ze słomą
i za zgodą rozweselonych kołchoźnic
na pędzący samochód się gapi.
Właśnie zdarza się przyjazna chwila...
Opuszczyły mgłę słoneczna samoloty
i jak trzy płochy szpaki
pofrunęły na spotkanie najbliższej zieleni,
która stoi jeszcze na palcach pod niebem,
lecz już się ku dobrym cieniom wieczoru kloni.

1954.

Reportaż ze Stalingradu

Na którymkolwiek placu stajesz,
historia cię ku ziemi chyli.
Wystarczy zamknąć oczy, żebyś ujrzał
łagodny, letni dzień, słoneczne dale —
mężczyzn z żonami nad zieloną rzeką
i dziećmi, co nie chcą stać ni jednej chwili,
a biegają, biegają, śmiejąc się i krzycząc,
serduszka bijące podają ufnie fałom...

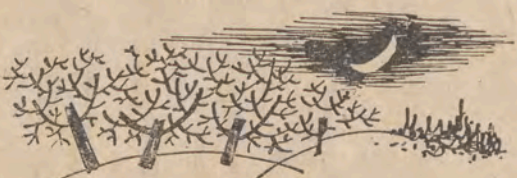
To chwila tylko, bo przecież
w błysku pękających min
jakże szybko widać rozpadające się mury domów,
krew ludzką na rozdartym bruku
i pokrzywione łóżyska ulicznych szyn.
Zgruchotane drzewa leżą, zgruchotane posagi i ludzie bez ruchu...

Tu trwała walka o każdą stopę ziemi.
Spójrz: jesiennym, żalobnym liściem szeleści wzgórze Mamaja,
placząc wszystkich młodych i najmłodszych,
którzy nie zaznawszy nigdy szczęścia, nie urzeczywistniwszy życia
poginęli...

Miasto, miasto niezapomniane —
ile miejsc twoich jeszcze czeka na zalecenie ran,
na wielką budowę,
Ludzie, jak jaskółki, gdzieś tam polepili domki,
bo nie chcieli odejść stąd od Wołgi bram,
chcieli żyć, pracować, jak bracia ich niedyś,
żony i ojcowie...

Każdy dzień najpiękniejszy,
choć niesie w przyszłość jak dobry wiatr,
splamiony jest krwią i łzami przeszłości.
Tu w bohaterskim Stalingradzie
rozumiałem najboleśniej nasz czas —
i brakowało słów...
Nadzieja jest nam potrzebna jak chleb, jak zdrowie,
Trzeba bronić pokoju, jak ziemi ojczystej, do ostatniego tchu.

1954.



A. Ostroumowa-Lebiediewa: Leningrad

Na drodze do Inowłodza

GDYBY dwie nazwy Łódź i Inowłódz stanowiły synonimy wrażeń i tylko architektonicznych, wówczas Łódź zaliczyłabyś do twórców pozbawionych tradycji, Inowłódz natomiast byłby niejako uosobieniem tradycji architektonicznej. Wydaje się, że można by zburzyć w Inowłodzu wszystkie inne obiekty — zniszczyć całą osadę — pozostawiając kościół św. Idziego — a jednak nie pozbawilibyśmy mimo to jej podstawowej treści. Wbrew ekonomii zabytkowy obiekt posiada wartość od całej reszty inowłodzkich budynków.

Samotna baszta — kościół stała się z upływem czasu zjawiskiem obcym, wyizolowanym z regionu. Pomiedzy zabytkiem romańskim, wzniesionym w roku 1082, a zabudowa obecną zatrzaściły się ognia pośrednie. Żaden obiekt, ani zespół budynków na tej 70 km trasie Łódź-Inowłódz nie stanowi bowiem wartościowego wkładu do rozwoju i postępu architektury w kraju i regionie. Istniejąca XIX-to i XX-to wieczna zabudowa na naszej trasie nie pozostaje w żadnym kontakcie z dobrze pojętymi tradycjami architektonicznymi. Inowłodzki zabytek jest chyba na naszym odcinku, na przestrzeni 900 lat ostatnim obiektem, w którym zawarty został kapitał wysiłku twórczego architekta i dobrej pracy rzemieślniczej. Gdzieś na przestrzeni XIX wieku ognia łączące region z tradycją pękły gwałtowny rozwój kapitalistycznego budownictwa doprowadził do wykaraczowania śladów spuścizny architektonicznej. XIX-to i XX-to wieczna inwazja niesławnego budownictwa pozostawiła osamotnione zabytki jakby w stanie obłąkania — otoczone szalenie tandetą budowlaną. Trasa Łódź — Inowłódz jest zresztą w aspekcie zjawiska architektonicznych typów dla większej części kraju. Na tej trasie możemy odczytać występujące ze szczególną ostrością zjawisko skażenia i zatracenia polskich wsi i miasteczek tandetnym budownictwem; wykaraczowania swoistej kultury i tradycji — wiejskiej chaty — sprzętu — koloru ścian — ogródka kwiatu przed domem — drzewa...

Spójrzcie przez okno samochodu, a zobaczycie klepsko wysypane niekiedy żużlem wokół niejednej zagrody, zbudowanej według pierwowzoru łódzkiej jednoprętowej oficyny. Im dalej od miasta kominów, tym lepiej — czyściej — tym więcej malw, kwiatów; pojawia się przy chłopskim domu krzew, brzoza — znika jako kolor ram okiennych i ścian „urzędowy” kolor wiskowy wraz z fatalnym zielonym starającym się naśladować i podrabiać naturę! — Mijamy sklep „potrzeb kulturalnych” (sic). Drzwi sklepu — szablony rzucony przez zwierzchnie władze Samopomocy Chłopskiej — walczą o lepsze z zielenią drzew i krzewów. Przepisowy kolor; ma go począł, kole, mają go w mieście jarzyniarze. Kiedyś wyzbyliśmy się tych beznamiętnych szablonoń? Jestem pod nieuchronnym wrażeniem nachalnej „estetyki” tkwiącej początkami w czasach carskich. Mijamy kościół — jeszcze jedno monstrum dyktanckiego eklektyzmu ostatniego stulecia.

Czasy carskie... Łódź podlegała gubernalnemu ośrodkowi w Piotrkowie. Władze piotrkowskie decydowały w sprawach obiektów i budynków szybko rozbudowującego się miasta. Łódź budowali niedouczony technicy przy udziale gogolowskiej biurokracji. Miasteczka zaś i wsie okregu naśladowały zaobserwowaną „architekturę” powstającego miasta. Skrócona edukacja budowniczych Łodzi, polegała na przyswojeniu fatalnych w skutkach formuł prawa budowlanego i zdobyciu tzw. „uprawnień”. A prawo budowlane zajmowało się jedynie ogniomurami i odległościami od sąsiada. Na naszej trasie ukazują się co chwila potworki o przepisowych, papą obulonych „fajermurkach”, z przepisową odległością od granicy sąsiada, (który często nigdy się nie pobudował), stawiane w latach 1890 — 1900 — 1925...

Pograżonym i pochłoniętym bez reszty przez niemity obraz, może ująć uwagi wysiłek naszego dziesięciolecia, zmierzający do skutecznego i trwałego przekształcenia obrazu wsi polskiej. Zainteresowani zewnętrznymi przejawami tej pozytywnej działalności, szukamy na trasie budynków zainwestowanych w pierwszym rzędzie przez jednostki uspołecznione: PGR, Spółdzielczość produkcyjną, itp. Na odcinku pomiędzy wyjątkowo szpetnym Ujazdem a Tomaszowem Mazowieckim, odnajdujemy osady przesiadkowe Zaborów i Komorów, zabudowane zgrabnymi domkami mieszkalnymi, wykonanymi w nietynkowanej cegle, pokryte szarą dachówką. Regularne zespoły: komorowski i zaborowski wybijają się w sposób wyraźny na tle zauważonego zamętu budowlanego.

Przebiegając naszą trasę można by doprawdy, poza wspomnianym wyżej uspołecznionym budownictwem, nie dostrzec żadnej innej powojennej inwestycji. Jednak po bardziej dokładnym

przyjrzeniu się — świeży kolor cegły, kamienia, czy drzewa zdradza niedawne narodziny obiektu. Jest dużo takich, indywidualnie przez chłopów wzniesionych, budynków. Liczba ich, po szczegółowej obserwacji, kilkakrotnie jeszcze przewyższa ilość zabudowań Komorowa i Zaborowa. Ten radosny objaw rosnącej zamożności chłopów, mówi jednocześnie o niedbalstwie administracji dopuszczającej do samowoli i bezplanowości. Wszystkie po wojnie przez chłopów wzniesione budynki, nawiązują do najgorszych tradycji podłódzkich osiedli. Dominantą jest nadal parterowa, papą kryta oficyna, zaopatrzona w przepisowe ogniomórki. Przypadać musi, że widok zębów muru budynku wznoszonego na wsi przyprawia mnie o gęś skórę. Wznoszenie indywidualnych domostw na wsi posiada ciągle jeszcze cechy działalności nie ujętej w dyscyplinę gospodarki socjalistycznej. Czy słusznie? Czy nie istnieje jakiś środek zaradczy? Nieorientowanemu sprawę wydaje się prosta — zakazać wznoszenia tandetnej architektury!

Administracja znajdzie dużo więcej oporów i wyjaśnień. Brak planów zabudowy, niezdiscyplinowanie inwestora, stosowanie przypadkowych materiałów budowlanych itp. Spośród powodów argumentów, jeden wydaje się podstawowym — administracja terenowa nie dojrzała do zagadnienia — nie podejmuje żadnej akcji ujęcia tej spontanicznej działalności chłopów w organizacyjne zdrowe ramy. Jest to poważna bolączka budownictwa na wsi. Nawyk tandetnego budownictwa jest z nadto zakorzeniony, aby chłop-inwestor naśladował wzory poprawne, choćby zaborowskich i komorowskich zagrod.

Opuszcmy na chwilę nasz autobus przy dowolnie wybranym domu chłopskim, wznoszonym sposobem gospodarczym i przeprowadźmy wyimaginowany wywiad z inwestorem.

— Gospodaru, kto projektował i zatwierdzał waszą chatę?

— Łatwo się domyślić na jaką rozterkę



Nowa obora w spółdzielni produkcyjnej Rąbień, pow. łódzkiego

duchową narazimy chłopów, który odesłał nas, jeśli nie do stu diabłów, to przynajmniej do odnośnej władzy budowlanej.

Interesuje nas sprawa prefabrykacji — obniżenia kosztów budowy, uprzedmiotwienia i uproszczenia jej przebiegu. Zlikwidowania nienormalnego stanu, gdzie rolnik nie mający z zawodem budowlanym nie wspólnego zmuszony jest budować posługując się najgorszym i najmniej wydajnym materiałem budowlanym. Interesuje nas zagadnienie: kiedy skończy się odrywanie cennych sił roboczych od właściwych zajęć na roli dla sporadycznie i po dyktandku wykonywanego zawodu murarza czy cieśli.

Nasza konfrontacja z rzeczywistością daje zatem fantastyczne rezultaty. Jeśli łódzki malarz artysta (vide artykuł Bruca, „Kronika” 1.VII br.) jest w ustroju socjalistycznym arkadyjskim arielem, to czym jest wobec tego chłop z problemem wzniesienia chaty na tle planowej gospodarki?

Powiadacie — prowizorka!

Bądźmy realni, tych trzydzieści kilka tysięcy obiektów wybudowanych w dziesięciolecie indywidualnie w województwie łódzkim, przetrwa kilkadziesiąt latnych lat, podobnie jak trwają ohydne budy Ujazdu czy Będkowa.

JERZY OPLUSTIL

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

FIGARO TU — FIGARO TAM!

POZĄTKOWO nie umiałem sobie uświadomić, dlaczego — kiedy myślałem o pracy naszego Wydziału Kultury MRN — przypomniały mi się słowa wiersza Tuwima o staruszkach:

„Żyjemy sobie jak Bóg zdarzy,
Zrywamy kartki z kalendarzy...”

Tymczasem okazuje się, że wielki poeta niezwykle trafnie przewidział obecną sytuację Wydziału. Aby usunąć wszelkie co do tego wątpliwości zestawmy poezję z życiem, zaczynając — jak to często u nas na polu pracy kulturalnej bywa — od końca. Cóż tedy znaczy zrywanie kartek z kalendarzy w działalności wydziału?

Znaczy coś w rodzaju dobrowolnego przymusu kwitowania mnóstwa rocznic, urodzin, zgonów, uchał, zaznaczonych w kalendarzu. A jest tego nie mało. Samych „dni” będzie chyba kilkadziesiąt — kolejarza, żołnierza, kołob, ochrony przyrody, dziecka, morza, zdrowia... Cóż tu mówić o akcjach związanych z wybitnymi twórcami — palców u rąk i nóg nie starczy w całym Wydziale. Jeżeli brać pod uwagę tzw. akcje dociepne, albo inaczej — części artystyczne, urządzane z okazji z kulturą niezwiązanych — będziemy mogli z czystym sumieniem powiedzieć, że każdego dnia wypada co najmniej jedna kalendarzowa impreza. Mamy więc do czynienia raczej ze spółdzielnią usług kulturalnych „Universum”, niż z instytucją kształtującą życie kulturalne wielkiego miasta. Żadna to pociecha, że podobną sytuację można napotkać i w innych miastach.

Zestawmy z kolei z życiem pierwsze zdanie wiersza. I ono pasuje do rzeczywistości jak ulał.

Każdy, kto niedługo nawet czas zechce oglądać z bliska atmosferę pracy miejskiego resortu kultury, szybko zostanie przyniesiony, zasypany istną lawiną drobnych, dziwacznych nieraz spraw, nieoczekiwanych, niespodziewanych, trudnych do przewidzenia, czy zaplanowania.

Jednego dnia wyniknie sprawa cykłodromów i karuzel objazdowych, następnego — pojawi się zagadnienie zabawy dla matek wraz z dziećmi, albo kwestia dancingu dla inteligencji jakiejś centrali i trzeba będzie rozstrzygnąć, czy ma tam być sprzedawany alkohol, czy nie. Potem, nie wiadomo skąd, wypłynie problem przenoszenia strzelnic i napolu jarmarcznych gier towarzyskich, dalej — przełomowej decyzji domagał się będzie repertuar fotoplastikonów, równocześnie spadnie na wydział konieczność rozpatrzenia wysiłku obrazu za granicę. Nie pozwoli — powiedzą, że terror „żelazna kurtyna”, pozwolą — a nuż w ramie są waluty? No a sprawa festynów, które ujawnią się via telefon i muszą być przez pół godziny „zapięte” w ramach walki z chuligaństwem? A zaopiniowa-

nie widowisków? A sprawozdawczość, która ma podsumować, uwypuklić i otworzyć perspektywę?

Mamy więc do czynienia raczej z piłką, podzucaną od przypadku do przypadku, a nie z placówką ogarniającą w poważny, koncepcyjny sposób naczelne problemy polityki kulturalnej. I znowu — mała to pociecha, że gdzie indziej bywa tak samo.

Obserwujemy doprawdy niepokojące zjawisko: Wydział Kultury w roli Figara, biegającego tu i tam — kogóż to może cieszyć? Obserwujemy niebezpieczny zanik specyfiki pracy kulturalnej, tracąca się przedmiot jej działania, możliwość koncepcyjnego kierownictwa. Pozostaje niezarobkowe przedsiębiorstwo drobnych a nie zawsze skutecznych usług. Radiowa „muzyka i aktualności” nadalaby w tym miejscu wesołego oberka z takim zapewne komentarzem: Wydział Kultury, o! o! Popraw się, popraw! A nasze dzienne niestety zagraniczyły ostrzegawczo: I co na to Wydział Kultury? Te wnikiwe rady i podchwytliwe pytania dawałyby do zrozumienia, że sytuacja jest beznadziejna. Czyżby?

Nieprawdą jest, że mało zarabiający ludzie, zabiegani wokół drobnych spraw, tracą z oczu wielkie kierujące całokształtem idee. Weźmy chociażby dla przykładu nasz wydział Kultury.

Mamy w obrębie miasta kilkunastotysieczną grupę ludzi, nieobjętych do niedawna żadną akcją kulturalną, nawet kalendarzową. Są to mieszkańcy gromad wiejskich wielkiej Łodzi, pozbawionych jakiegokolwiek opieki. Trudno mówić o ZSCh, organizacji, która w naszym mieście liczy dwóch pracowników i ani jednego budżetu na ich opłacanie — żyją dosłownie z dobrowolnych składek. Zabieg Wydziału Kultury na tym polu przypominać co nieco filantropię okresu Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Trzeba zabiegać w zamożnych spółdzielniach pracy, żeby „Czystość” zamioła w świetlicach gromadzkich, „Zdun” wstawił piec itd.; książki a czasem i węgiel przynosi nasz niestrudzony łódzki bibliotekarz. No ale wyniki są — już kilka świetlic wcale dobrze pracuje.

Wiadomo nie od dziś, że piękna idea festynów ludowych, które powinny kształcić w masach określone nawyki estetyczne — zamienia się coraz częściej w karykaturę. Festyny zamiast kształcić — „bawią” za wszelką cenę. Zła muzyka, tandetna nieraz szmira w skeczach, monologach i konferansjerce, wódka, porozbijane nosy, butelki, okaleczone drzewa. Jeszcze trochę, a można by już spokojnie przypomnieć łacińskie: „panem et circenses”. Festyny stanowią istotny element polityki kulturalnej w naszym mieście. I dlatego nie jest obojętne co śpiewa Ściwarski, co mówi Wilczyńska, jaka jest oprawa kotlety w „Barze Śródmiejskim”.

muzyczna całości. Skromniutki jeszcze osiągnięcia Wydziału w walce o rzeczywiste ludowy i wychowawczy charakter tego rodzaju imprez świadczą o zdrowej ambicji, o chęci wydobycia się z balastu drobiazgów.

Trzeba powiedzieć o interesującej próbie schwywania dużych, istotnych problemów życia kulturalnego. Tak mają się rzeczy jeżeli chodzi o repertuar teatrów, filmów, czy w zakresie muzyki. Tak więc Wydział usiłuje dowieść, że wiersz Tuwima odnosi się tylko do staruszków. Ponieważ jednak sukcesy są niezbyt wielkie, pada podejrzenie, że sam przypomniał staruszką. Zarzut może i słuszny, ale tylko w części. Wydział bowiem pracuje w określonej atmosferze, która może mu sprzyjać, a może i hamować jego cenne inicjatywy.

Pokutuje u nas wciąż jeszcze szkoldiwy, założenie smutny stosunek do spraw kultury. Jeżeli gdzieś przewodniczący GRN oświadcza, że za kulturę, jak dotąd, nie biją, a co innego skup i kontraktacja — to wyraża właśnie ów stosunek. Na „szczeblu powiatowym” ta sama sytuacja może wyglądać nieco inaczej, delikatniej. Tu traktuje się sprawy kultury jako przyczepkę do akcji społeczno-gospodarczych, uważa za rzeczywistość odrębną, w którą wkracza się po wykonaniu zadań produkcyjnych. Wydział Kultury, jako najmniej ważny, działa na zlecenie innych, ważniejszych.

A u nas? Nie lepiej, stanowczo nie lepiej. Wystarczy tylko uświadomić sobie, jak mało zrobiliśmy w zakresie budownictwa kulturalnego, albo przypomnieć, ilu straciłymi cennymi pisarzami, plastykami, muzykami, aktorami, pracownikami nauki, w ciągu dziesięciolecia na rzecz innych miast.

Tymczasem w naszym mieście, jak w żadnym chyba — sprawy kultury stały się przedmiotem ogólnej troski, zwłaszcza zaś ojców miasta. Trudno bowiem zaprzeczyć, że wzrostowi zawodowemu pracującemu człowiekowi nie towarzyszy w tym samym stopniu jego humanistyczny rozwój. Dysproporcja ta bardzo widoczna jest w naszych zakładach pracy. Przewodnik pracy, który nie czyta, żyje bez teatru, muzeum, muzyki — to zjawisko niezwykle częste, zrodzone w braku zrozumienia potrzeby jednostki, równocześnie pracy politycznej z kulturalną. W tej właśnie atmosferze pracuje Wydział i inne agendy życia kulturalnego.

Radiowa „muzyka i aktualności” nadalaby w tym miejscu wesołego oberka wraz z komentarzem: Ojcowie miasta, o! o! Poprawcie się, poprawcie! A nasze dzienne! Sądząc z dotychczasowej praktyki naboru raz jeszcze wody w usta. Co innego gdyby szło o zbyt małe kotlety w „Barze Śródmiejskim”.

Proszę o głos!

Biurokrata i człowiek

Atmosfera urzędowości działa zabójczo na wszystko co żyje — ludzkie porwy, nadzieje i twórczą gwałną przy pierwszym zetknięciu z tym nieublaganym regulatorem życia, jakim jest urządowe pióro.

Conrad „Smuga cienia”

ILEKROĆ wchodzę do jakiegoś urzędu, tracę odrazu tzw. kontens. Przepada z miejsca cała moja odwaga i przytomność umysłu. Zastanawiam się często, dlaczego tak się dzieje, nie jestem bowiem człowiekiem wstydlivym, ni bojaźliwym, przeciwnie: koledzy uważają mnie raczej za śmiałka.

Od dawna już mówi się i pisze, że urzędnik to istota traktująca drugą istotę żywą, tj. potentą, jak mebel, jak coś martwego, coś, co pozbawione jest serca i uczucia. Człowiek przychodzący do urzędu, to w jego oczach jakiś punkt, kreseczka, przy pomocy której np. niepiśmiennie kobiety rachują kredkę na ścianie lub kredensie, dostarczono im w tygodniu mleko.

Mnie jednak ta interpretacja duszy urzędnika nie zaspokaja. Przecież urzędnik, gdy wróci z instytucji do domu, potrafi być przyjemnym mężem, dobrym ojcem, wesołym towarzyszem rozmów i zabaw. Czyta interesujące książki, latem podlega ogródek, chodzi do kina i na spacer, słowem: prowadzi normalne, ludzkie życie. Więc czemu przestaje być człowiekiem w urzędzie, dlaczego przedzierga się tam, często nie zdając sobie z tego sprawy, w żywy paragraf, w symbol biurokracji?

Dochodzę do wniosku, że w systemie pracy urzędnika, w samej strukturze biurokracji, jest coś, co nie pozwala mu być człowiekiem. Instytucja, urząd, biuro działają na niego somnambulicznie: wykonuje gesty i potusza się tak, jakby pozostawał pod działaniem nieznanego, płynącego z zewnątrz siły. Ta siła tkwi moim zdaniem, w rozporządzeniach, którymi urzędy zasypywane są każdego miesiąca, ba! — każdego dnia omal. Płyną te zarządzenia z centralnych zarządów, z naczelnych dyrekcji, z departamentów niepowstrzymanym potokiem, zalewając duszę biednego urzędnika jak woda.

Bo urzędnik — to w istocie człowiek biedny. On by może chciał nieraz inaczej, ale nie pozwalają mu rozporządzenia, okólniki, instrukcje, nakazy, przykazy i cała ta literatura, ujęta w pięknie ponumerowane paragrafy. Urzędnik to człowiek w siłach, motyl przekuty szpilką, nie rozporządzający sobą dobrowolnie, prowadzony twardą, tępocapalcową ręką ułożonych gdzieś indziej i przez kogoś innego dyktury.

Tak, bezuważenia, urząd potrafi z najlepszym człowiekiem dokonać dzieła swoistego zniszczenia. Mam znajomego, który przez wiele lat pracował w urzędzie jako skromny referent. Był to człowiek zany, zagoniony w pracy, cichy, nieśmiały, często aż irytujący w swej niezarażności. I oto nadszedł czas, kiedy powołano go na stanowisko naczelnika wydziału, poprzedni bowiem naczelnik wyleciał z trzaskiem za wprowadzenie pracujących w jego biurze papierek.

Od chwili, gdy znalazł mój usiadł na stolcu naczelnika w olbrzymim, wyłożonym dywanami pokoju, nie poznał go. To jest ktoś zupełnie inny. Ma władczy gest, pewność siebie, mówi głośno, ludzi, przed którymi zdejmuje czapkę i nisko się kłania, używa teraz do siebie, poucza ich, każe im nieledwie stać przed sobą na baczność. Nie mówi inaczej, jak tylko: „J a to rozpatrzę, j a załatwię, j a się zorientuję...”. Gdy dyrekcja teatru przysła mu bilety na premierę w siódmym rzędzie, odsła je przez sekretarkę z uwagą, iż siódmy rząd to nie dla niego. A jeszcze niedawno siadał kontent w rzędzie dzieciomłastym i wszystko było dobrze. Powiecie: taki człowiek, nosił w sobie te cechy utajone, nie miał sposobności ich ujawnić. Nie, ja się z wami nie zgadzam. To urząd dokonał w nim tego spustoszenia. Wpadł w tryby, które w podobny sposób przerobiły każdego. Może nie w tym stopniu, może mniej, może więcej — ale przecież podobnie.

Mówicie: walczymy z biurokracją. Cała nasza satyra atakuje urzędy i urzędników, a biurokracja nie tylko się nie zmniejsza, lecz przeciwnie: monstrualnie rośnie, rozmaża się jak stugłowa hydra. Bo satyra uderza w urzędników i to najczęściej małych, nie wykracza poza postać dyrektora. Tymczasem należy uderzyć w ducha biurokracji, w strukturę życia urzędowego, które trwa ponadczasowo i nie zmienia się, choć zmieniają się poglądy i ustroje. Trzeba uderzać w tych, którzy skonstruowali tę potworną maszynę, zatrważając życie człowieka pracy. Przecież okólników nie tworzy referent, on je otrzymuje g o t o w e, on jest niewinnym tych okólników wykonawcą. I jemu trzeba raczej współczuć, a walić jak w kaczy kupier w atmosferę biurokracji, w m e t a f i z y k e urzędu. Dodać się życia w urzędzie, nie urzędu w życiu.

KRONIKARZ

Michał Szołochow ZORANY UGÓR

Tłum. Eleonora Słobodnikowa

LUSZKA mieszkała nadal u ciotki. Mała, kryta słowem chałupka — o złotych, krzywobokich okiennicach i wrośniętych w ziemię, pochylonych ze starości ścianach — przyczepiona u samego skraju urwiska nad rzeczką. Wielkie podwórko porośło trawą i burzanem. Ciotka Łuska, Aleksiejewna, oprócz krowy i małego ogródka warzywnego nie w obieściu swoim nie posiadała. W niewysokim płocie, okalającym podwórko od strony rzeczki, zrobiono przejazd. Leciwa gospodyni korzystała z niego, udając się nad rzeczkę po wodę, gdy polewała w ogrodzie kapuste, ogórki i pomidory.

Był to zapadły kąt i to właśnie miejsce upatrzył sobie Nagulnow, gdy następnego ranka przechodził brzegiem rzeczki obok zagrody Aleksiejewny.

Dwa dni nie przedsięwziął, wychodząc, aż minie mu katar, a trzeciego dnia, jak tylko się ściemniło, włożył płkowany wacik, skradając się wyszedł na ulicę i spuścił się ku rzeczce. Całą noc — czarna i bezkiszynowa — przeleżał pod płotem w konopkach, ale koło przejazdu nikł się nie zwił. O świcie Makar wrócił do domu, przespał się kilka godzin, w dzień wyjechał do pierwszej brygady, którą zaczęła kosić trawę, a z nastaniem zmroku już znów leżał koło przejazdu.

O północy skrzyknęły cichutko drzwi chałupy. Makar ujrzał przez płot, jak na ganku zjawiała się niewyraźna kobieta postać, opatulona w ciemną chustkę. Domyślił się, że to Łuska.

Kobieta zeszła powoli z ganeczki, postąpiła trochę, po czym wyszła na ulicę i skręciła w zaułek. Bezgłośnie stając Makar siedział z nią w odległości dziesięciu kroków. Nie nie podejrzewając i nie rozglądając się Łuska skierowała się ku pastwisku. Wyszli już za futor, lecz nagle zdradził Makara przekłety katar: głośno kichał i w tej chwili padł płackiem na ziemię. Łuska gwałtownie się odwróciła. Stała chwilę nieruchomo jak wryta, z rękoma przyciśniętymi do piersi, tamując czeszy, przerywany oddech. Stanik stał się nagle za ciśnie, a krew mocno tętniła w skroniach. Pokonawszy zmieszanie Łuska, bojaźliwie ruszyła w stronę Makara drobny krok. Nagulnow leżał wsparty łokciem w ziemi i śledził ją spoje łba. Łuska, nie dochodząc do niego, zatrzymała się w odległości trzech kroków i zapytała zdławionym głosem:

— Kto to?

Makar stał już na czworakach i milcząc wciągał na głowę połę waciaka. Wcale nie chciał, żeby poznała go dawna żona.

— O la boga! — wyszeptała Łuska wystraszonym głosem i pobiegła w stronę futoru.

Przed świtem Makar obudzili Razmiotnowa i siedzącą na ławce powiedział ponuro:

— Jeden raz kichnąłem i całą sprawę diabli wzięli! Pomóż, Andrzeju, bo inaczej umknę nam Timoszką!

W pół godziny zajęchali we dwójkę na parokonnej bryce przed zagrodę Aleksiejewny. Razmiotnow przywiązał konie do płotu, wszedł pierwszy na ganek i zapukał w krzywobokie drzwi.

— Kto tam? — zapytała gospodyni sennym głosem. — Do kogo?

— Wstawaj, Aleksiejewna, bo zapiesz i nie wydoisz krowy — odezwał się Razmiotnow rześkim głosem.

— Coś ty za jeden?

— To ja, przewodniczący rady gminnej, Razmiotnow.

— Ki diabeł przyniósł cię tu, kiedy jeszcze zorze nie wstały? — zapytała kobieta z niezadowolaniem.

— Interes mam, otwórz!

Zgrzytnęła u drzwi zasława i Razmiotnow z Nagulnowem weszli do kuchni. Gospodyni napędziła się ubrała i zapaliła w milczeniu lampę.

— Lokatorka twoja w domu? — Razmiotnow wskazał oczami drzwi izby.

— W domu. A na co ci tak rano potrzebna?

Razmiotnow nie odpowiadając zapukał w drzwi i głośno powiedział:

— Hej, Łukieria! Wstawaj, ubieraj się! W pięć minut bądź gotowa, no wojskowemu!

Łuska wyszła na bosaka, w narzuconej na gołe plecy chustce. Matnow smagle jej łydki podkreślały nieskazitelną biel koronek u halki.

— Ubraj się — rozkazał Razmiotnow i pokiwał z wyrzutem głową: — Narzuciłabyś przynajmniej spódnice...

Ze też z ciebie taka bezwstydna baba! Łuska obrzucała przybitych uważnym, pytającym wzrokiem i uśmiechała się ośmiewając:

— Przecież tu sami swoi, kogoż się mam wstydić!

Nawet ledwo rozcumchana ze snu, piękna była i dziewięć świeża ta przeklęta Łuska!

— Po coście do nas zawitali, drodzy goście? — zapytała Łuska, poprawiając kokieteryjnym ruchem ramienia zsuwającą się chustkę. — Czy nie szukacie przypadkiem Dawydowa?

Uśmiechała się już triumfującą i bezczelnie, mrużąc zwycięsko bystre, promieniste oczy, gotowa zmierzyć się wzrokiem ze swym byłym mężem. Ale Makar obróciwszy ku niej twarz spojrzał na nią spokojnie i ciężko i tak samo spokojnie i ciężko cedząc słowa odrzekł:

— Nie, szukamy u ciebie nie Dawydowa, ale Timofieja Rwanego.

— Jego nie tu szukać należy — odparła Łuska zuchwale, ale jakiś dreszcz wstrząsnął jej ramionami. — Szukać go należy w zimnych stronach, tam, dokądś mego sokota zapędził!

— Nie wyglupiaj się — nadal nie tracąc panowania nad sobą powiedział spokojnie Makar.

Widocznie zimny jego spokój, tak dla niej niespodziewany, doprowadził ją do wściekłości i Łuska przeszła do natarcia:

— Czy to nie ty, mężulku, dreptałeś mi tej nocy po piętach, kiedy szłam za futor?

— A jednak zgadła! — usta Makara musnęły ledwo widoczny uśmiech.

— Nie, po ciemku nie zgadłam i takiego napedziłam mi stracha, że o mało, złościutki, nie umarłam! Dopiero później, kiedy dobiegłam do futoru, domyśliłam się, że to ty.

— Taka jesteś odważna, to czegoś, ścienwo, się wystraszyła? — zapytał brutalnie Razmiotnow, usiłując umyślnym grubiaństwem rozwiać urok, jaki wywierała na nim wyzywająca uroda Łuski.

Kobieta ujęła się pod boki i oparzyła go wściekłym spojrzeniem.

— Ty mnie ściemwem nie nazywaj. Takie słowo powiedz swojej Marynce, a może Demid Mołczun spierze ci porządnie mordę! Mnie skrzywdzić łatwo, nie ma przy mnie moich obrońców...

— Masz ich więcej niż potrzeba — uśmiechnął się Razmiotnow.

— Ale Łuska nie zwracając już na niego najmniejszej uwagi zapytała Makara:

— A czegoś ty za mną siedzisz? Co ty masz do mnie? Wolny ze mnie ptak, gdzie chce, tam leć. Gdyby za mną był mój przyjaciel — Dawydow, to ten by nie podziękował ci za to deptanie naszych śladów!

Makarowi zagrały na pobladłej twarzy wydatne guzy pod kośćmi policzkowymi, lecz opanował się ogromnym wysiłkiem woli i zbył to milczeniem. W kuchni dało się wyraźnie słyszeć, jak chrząsnęło zaciśnięte w pięść jego palce. Razmiotnow przerwał pośpiesznie tę rozmowę, ponieważ zaczynała już przybierać niebezpieczny obrót:

— Pogadaliście i starczy! Szukajcie się do wyjścia. Ty, Łukieria i ty, Aleksiejewna, jesteście aresztowane i zaraz zawieziemy was do rejonu.

— Za coś to? — zapytała Łuska.

— Tam się dowiesz.

— A jeśli nie pojedą?

— Zwiążemy cię jak owcę i zawieziemy. Nawet ci powierzać nie damy. No, żywo!

— Gotowa jestem, Makaruszka — i podniosła na Makara spokojnie, leciutko zasmucone oczy.

W kuchni ubrana już Aleksiejewna zapytała:

— A na czyjej opiece ja dom zostawię? Kto będzie krowę doł? Ogród dołgał?

— O to my już zadbamy, ciotczyno, a jak wrócisz wszystko zastaniesz w takim porządku jak teraz — uspokoił ją Razmiotnow.

Wyszli na podwórko i wsiadli do bryczki. Razmiotnow rozplątał lejce machnął wściekle batem i z miejsca pognął konie szybkim kłusem. Zatrzymał się obok rady gminnej i zeskoczył z bryczki.

— No, złaćcie, kobitki! — wszedł pierwszy do przedsiodka, zapalił zapalniczkę i otworzył drzwi do ciemnej komórki. — Proszę wejść i rozgościć się.

— A do rejonu kiedy? — zapytała Łuska.

— Pojedziemy, jak zadnieje.

— To dlaczego przywieźliście nas

Kilka chwil Łuska stała niezdecydowana, po czym cofnęła się, zwinym ruchem wślizgnęła się niepostrzeżenie w drzwi, a zatrzasnąwszy je za sobą, usiłowała od wewnątrz narzucić na skobel haczyk. Lecz Makar w porę i bez szczególnego wysiłku szarpnął drzwi ku sobie, wszedł do izby i rzekł podniesionym głosem:

— To nie przelewki! Ubieraj się, nie waz mi się uciekać. Nie ja będę cię, głupia, ścigał, kula cię dogoni! Zrozumiałaś?

Ciężko dysząc Łuska usiadła na zmiętej pościeli.

— Wyjdź, ubiorę się.

— Ubieraj się. Mnie nie masz się czego wstydić: widziałem cię i tak i siak!

— No to pal cię sześć — bez złości, zmęczonym głosem powiedziała Łuska.

Zrzuciła z siebie halkę i koszulę nocną, po czym naga i wspaniała w swojej młodej, składnej urodzie, z całą swobodą podeszła do kufru i otworzyła go. Makar nie patrzył na nią: jego obojętny i jak gdyby zastygły wzrok zwrócony był w stronę okna...

Po pięciu minutach Łuska, ubrana już w skromną, kretonową sukienkę, rzekła:

końmi, a nie przyprowadziliście pieszo?

— nie ustępowała Łuska.

— Dla fasonu — uśmiechnął się w ciemność Razmiotnow.

Bo też w istocie rzeczy nie mógł przecie przyznać się tym ciekawskim kobietom, że przywiózł je dlatego, ponieważ nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył je w drodze do rady gminnej.

— Tutaj można było dojść i na piechotę — rzekła Aleksiejewna i przezegnawszy się weszła do komórki.

Wydawszy stłumione westchnienie Łuska udała się w milczeniu za nią. Razmiotnow zamknął komórkę i dopiero wówczas głośno powiedział:

— Słuchaj, Łukieria, jeść i pić wam damy, a w kącie na lewo od drzwi stoi kułeb do wszelkich potrzeb. Proszę siedzieć spokojnie, nie hałasować i nie stukać w drzwi, bo w przeciwnym razie, jak mi Bóg mły, zwiążemy was i zakneblujemy usta. To nie przelewki! No, to na razie tyle! Rano do was zajrzę.

Drugą klódkę zawiesił przy wejściu do rady gminnej i zwracając się do oczekującego przy ganku Nagulnowa rzekł głosem, w którym zabrzmiała prośba:

— Przetrzymam je tu trzy dni, ale dłużej nie mogę. Jak uważasz, Makar.



A. Romaniczew — Przyjazd dwudziestotysięcznika na wieś

— Gotowa jestem, Makaruszka — i podniosła na Makara spokojnie, leciutko zasmucone oczy.

W kuchni ubrana już Aleksiejewna zapytała:

— A na czyjej opiece ja dom zostawię? Kto będzie krowę doł? Ogród dołgał?

— O to my już zadbamy, ciotczyno, a jak wrócisz wszystko zastaniesz w takim porządku jak teraz — uspokoił ją Razmiotnow.

Wyszli na podwórko i wsiadli do bryczki. Razmiotnow rozplątał lejce machnął wściekle batem i z miejsca pognął konie szybkim kłusem. Zatrzymał się obok rady gminnej i zeskoczył z bryczki.

— No, złaćcie, kobitki! — wszedł pierwszy do przedsiodka, zapalił zapalniczkę i otworzył drzwi do ciemnej komórki. — Proszę wejść i rozgościć się.

— A do rejonu kiedy? — zapytała Łuska.

— Pojedziemy, jak zadnieje.

— To dlaczego przywieźliście nas

jeśli Dawydow się dowie, nie ujdzie nam to na sucho!

— Nie dowie się. Odprowadź konie, a potem zanieś coś do zjedzenia chwilowym aresztantkom. No to dziękuję ci, pójdę do domu...

— Nie, to nie dawny — chwadki i postawny — Makar Nagulnow szedł w przedświtowym, błękitnym mroku bezludnymi zaułkami Gremiaczego Łogu... teraz włożył się z ponuro opuszczone głową, z lekka przygarbioną przysiadając z rzadka do piersi duża, szeroka dłoń...

Zeby nie napatoczyć się Dawydowowi na oczy, Nagulnow spędził dni na pokosie i dopiero przed nocą wracał na futor. Drugiego dnia wieczorem, zanim poszedł na czay, udał się do Razmiotnowa i zapytał go:

— Dawydow szukał mnie?

— Nie. Sam go prawie nie widziałem. Dwa dni most ryczymy na rzeczce i tylko tym się zajmuję, że albo na moście sterzę, albo do naszych aresztantek w odwiedzinach biegam.

— Jak tam one?

— Wczorajszego dnia Łuska tak się piekłała, że rany boskie! Jak tylko do drzwi podeszła, to sama już nie wie, jak mnie wyzywać. A kłnie przekleństwo babośko gorzej niż Kozak pijany! I gdzie też się ona tak wykształcała! Ledwo ją ukościł. Dziś spokojniejsza. Placze.

— A niechże sobie popłacze! Wkrótce będzie nad trupem zawodzić.

— Nie zjawi się Timoszka! — zwątpił Razmiotnow.

— Przyjdzie! — Nagulnow walnął pięścią w kolano, a jego opuchnięte od bezsennej nocy oczy błysnęły. — Gdzież on się bez Łuski podzieje? Przyjdzie!

„I Timofiej przyszedł! Lekkceważąc sobie ostrożność, zjawił się trzeciego dnia pod przejazdem około drugiej w nocy. Czy nie zazdrość przygnała go do futoru? Albo głód? A może jedno i drugie, ale tak czy inaczej nie wytrzymał i przyszedł...”

Bezgroźnie jak zwierzę skradł się ścieżką od strony rzeczki. Makar nie słyszał ani szmeru gliny pod jego stopami, ani trzasku suchej gałązki buzu, lecz gdy raptiem w odległości pięciu kroków od niego wyłoniła się sylwetka pochylonego z lekka do przodu człowieka, Makar, zaskoczony tym, digneł.

Trzymając w prawej ręce karabin Timofiej stał w bezruchu i czujnie nadsłuchiwał. Makar leżał w konopkach tamując oddech. Na sekundę serce zalomotało mu ze zdwojoną szybkością, ale zaraz potem znów zaczęło bić rytmicznie i tylko w ustach zrobiło mu się gorzko i sucho.

Nad rzeczką skrzypliwie odezwał się derkacz. Na dalekim krańcu futoru zaryzała krowa. Gdzieś za rzeką na łączce donośny trzel wywiodła przepiórkę.

Makarowi łatwo było celować: Timofiej stał z dogodnie wystawionym do strzału tułowiem, obrocony z lekka w prawo, wciąż jeszcze bacznie czegoś nadsłuchując.

Na zgietej w łokciu lewej ręce Makar położył cichutko rekojęstę nagana. Rękaw waciaka wilgotny był od rosy. Makar sekundę zwlekał. Nie, on. Nagulnow, nie jest jakimś kulackim draniem, żeby strzelać do wroga z ukrycia! I Makar, nie zmieniając pozycji, głośno powiedział:

— Obróć się twarzą do śmierci, ga dzie!

Timofiej zrobił skok naprzód, jak gdyby odbił się od trampoliny, a potem rzuciwszy się w bok, wycołował karabin, ale Makar uprzedził go. W wilgotnej ciszy wystrzał z nagana zabrzmiał niezbyt głośno i nieco głucho.

Timofiej wypuścił z rąk karabin i zginając nogi w kolanach zaczął powoli — jak zdawało się Makarowi — padać na wznak. Makar słyszał, jak Timofiej głuchą i ciężko stuknął tyłem głowy o twardą, udeptaną, ziemie ścieżkę.

Makar leżał nie ruszając się jeszcze z piętnaście minut. „Do jednej baby kupą się nie chodzi, a jednak może jego przyjaciele przyciali się nad rzeczką i czekają?” — zastanawiał się wytyczając jak najczujniej słuch. Ale wokół panowała niezmacona cisza. Derkacz, który umilkł po wystrale, znów zaskrzypiał nieśmiało i z przerwami.

Zaczęło się raptownie rozwidniać. Rosło i rozszerzało się purpurowe pasmo na wschodnim krańcu granatowego nieba. Za rzeką rysowały się już wyraźne kępy wierzby, Makar wstał i podszedł do Timofieja. Ten leżał na plecach z odrzuconą daleko w bok prawą ręką. Zastygłe, lecz nie pozabawione jeszcze żywego blasku oczy jego były szeroko rozwarte. Owe martwe oczy jak gdyby zachwyciły się w upojnym, milczącym podziwie i mglistymi, gasnącymi gwiazdami i roztańczonym się u zenitu opalowym obłoczkiem, z lekka tylko postrzębranym u dołu, i całym tym bezbrzeżnym rozestworem niebios, zasnutym przezroczytą mgiełką.

Makar tracił zabitego noskiem buta i cicho zapytał:

— No i co, nahałateś się, wraży synu!

Nawet po śmierci piękny był ten pieszczoch i ulubieniec kobiet! Na nieprzyciemnione opalenizną, czyste, jasne jego czoło spadł czarny kosmyk włosów, pełna twarz nie zdążyła jeszcze stracić lekkiego zaróżwienia, odchylona górna warga z miękkim męskim czarnych wąsów z lekka zadarta była w górę, odsłaniając wilgotne zęby, a nikiel cien zdiwionego uśmiechu tał się w kwitnących ustach, które zaledwie przed kilkoma dniami tak poządlawie całowały Łuszkę. „A jednak jakieś ty się wypaś, chłopcze!” — pomyślał Makar.

Spokojnie przglądając się zabitego Makar nie odczuwał teraz ani dawnego gniewu, ani satysfakcji, nie prócz gnębiącego zmęczenia. Wszędzie, co wzburzało go w ciągu długich dni i lat, co zalewało mu serce szorącą krwią i przyprowadzało je o skurcze naskutek urazy, zazdrości i bólu — wszystko to wraz ze śmiercią Timofieja odeszło nagle gdzieś daleko i bezpowrotnie.

Podniósł z ziemi karabin, skrzywił się z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru khaki na kolanach starannie — zapewne kobiecą ręką — zacerowane. „Widocznie karmiła go i niezgorzej o niego dbała!” — pomyślał z gorczą Makar, ciężko, bardzo ciężko stawiając stopę na progu przejazdu.

Nie zważając na wczesną porę Razmiotnow oczekiwał Makara przy furtce, zabrał mu z rąk karabin, naboje i granat, po czym powiedział z zadowoleniem:

— A więc rozwaliliście go? Odważny był z obrzydzeniem, obszukał kieszenie. W lewej kieszeni marynarki namacał żłobkowaty przedmiot — granat „cvtrynka”, w prawej zaś nic nie było, oprócz czterech magazynków karabinowych naboju. Żadnych dokumentów przy Timofieju nie znalazł.

Przed odejściem Makar po raz ostatni rzucił okiem na zabitego i dopiero teraz spostrzegł, że haftowana koszuła, którą ten miał na sobie, była świeżo uprana, a spodnie koloru kh

Miniatury

Pierwsza klasa

PODMOSKIEWSKI pociąg, zdążający na lotnisko, składa się wyłącznie z wagonów pierwszej i drugiej klasy: idzie szybko, ale nagle zwalnia bieg i w jednym z wagonów pierwszej klasy dzieje się coś niezwykłego: konduktor wypycha jakiegoś mężczyźnego obdartego i upańkanego głną.

— Państwo wybacz, na litość boską — to robotnik drogowy wysłany z polecenia do Bykowa, ale nie zdążył, dureń, wskoczyć na parowóz... Tylko do Bykowa...

Przez chwilę wszyscy są aż oszołomieni takim bezsenssem, ale szybko się opanowują. Pociąg idzie znowu pełną parą i w wagonie wszystko na pozór jest znowu jak uprzednio: pała, rozmawiają, wyglądają przez okna. Wszyscy czują się niezręcznie, niemilo — rozmawiają już nieszczerze, pała z przesadną beztroską.

A o nim nawet nie ma co mówić: stoi przy drzwiach, gotów schować się pod ziemię wobec tych wszystkich panów, czesuczych garniturów, wielkich, tegich ciał i sytych twarzy. Nie wie gdzie patrzeć, ociera rękawem spoczone czoło trzymając w lewej ręce ciężką, aż do ziemi zwisającą torbę z jakimś żelaznymi ośkami, śrubami, i obcęgami...

I nonsens ten, ta męczarnia trwa przez całe trzydzieści pięć minut: 1930.

W przeddzień

W MIESIECIE, w drodze na dworzec. Dorożkarz pędzi co tchu z góry na most, przez rzeczkę. Pod mostem, na przybrzeżnej mieliźnie, odwróciwszy się od przejeżdżających pod łukiem mostu i jakby dla obrony, wzniosłszy ramiona, stoi obdartus i pospiesznie, jak pies, pożera z brudnej szmaty coś w rodzaju nadzienia.

A za nim turkoczą, pędzą jak na wyścigi wozy i zwisając z drabek trzęsą się straszne buty chłopów. Wszyscy są umęczeni — to młynarze — wszyscy są ołbrzymi i wszyscy — rudzi, bez cza-

pek, w czerwonych, rozchełstanych kożuszach.

A później wagon, druga klasa. Jakiś jadący naprzeciwko mnie pan lat czterdziestu, barczysty, ostrzyżony na jeża, w złotych okularach na płaskim nosie, o wyzywających nozdrzach, ciągle wstaje i nie patrząc na mnie — pełen lekceważenia — wciąż poprawia w siatce swe piękne walizy i walizeczki w solidnych pokrowcach. Dokładny i pewny siebie pan, spokojny o swój dybutek i godność.

Ale nadchodzi już jesień roku szesnastego. 1930.

Słoń

PODOBNA do liska, chudziutka dziewczynka o żywych oczkach, wyglądająca niezwykle miło, dzięki niebieskiej wstążeczce, która spina kokardą na ciemieniu jej jasne włoski, szeroko rozwartymi oczami przygląda się w zwierzyńcu pochylemu, szorstkiemu ogromowi słońca; obrócony jest on do niej bezmyślnie, a majestatycznie wielkim łbem o szerokim czole, łopuchach uszu oblażonych z sierści, gołych sterzących kłach i grubej, garbatej, nisko zwisającej trąbie z ostrym rykiem zapopatrzonym w czarny gumowy lejek.

— Mamo, dlaczego mu tak nogi spuchły? — pyta cieniutki głosik.

Mama śmieje się. Ale i słoń się śmieje. Pochylając głowę i nastawiając w stronę dziewczynki czoło, patrzy na nią, a w świątyni, szeroko rozstawionych oczach wyraźnie maluje się coś chytrego i wesołego. Z zadowolenia aż się kołysze i zaczyna chwiać trąbą. Nie spodzianie, z wznuszącą beznadziejnością, nie mogąc inaczej wyrazić swych uczuć i myśli, nagłym wygięciem wznosi trąbę do góry, ukazując pod nią mięsisto-wilgotną miękkość, nasadę obnażonych kłów i między nimi zabawnie mały pysk. Z rozkoszą pełną męki wydobywa ze swych strasznych trzewi głuchy grzmot, ryk, a potem mocarnie i radośnie a głucho trąbi na cały zwierzyńiec.

Przy obiedzie było uroczyste: niespodzianie podano kalafior i byli goście — trochę już tęgawa, jeszcze młoda

i ładna pani z chłopczykiem o czar-nych oczach, milikowym i bacznie na wszystko zważającym.

Mama opowiedziała o słońcu i o tym, jak córeczka spytała o jego nogi. Dziewczynka zrozumiała, że powiedziała coś śmiesznego i że się nią zachwycają, więc zaczęła mizdrzyć się, kręcić główką i nagle, ponad potrzebę głośno, zaśmiała się.

— Przecież dziecko! — w zamyśleniu rzekła owa pani przypatrując się jej bez żenady.

— Naprawdę, mamo: dlaczego mu tak nogi spuchły?

Ale mama uśmiechnęła się tylko z przymusem i zaczęła z ową panią rozmawiać o czymś innym, zupełnie nieciekawym. Wówczas, rzucając z ukosa spojrzanie na chłopczyka, dziewczynka zsunęła się z krzesła, podbiegła do krensensu i żeby znowu zwrócić na siebie uwagę, zaczęła pić wodę prosto z karmki, tracąc oddech, puszczając banki i oblewając sobie brodę. A kiedy cała się oblała i zachłysnęła, rozplakała się i odstawiła karmkę.

Kapitał

ROZNOŚCIELE kwasu, łysy, czerwony, bruchaty, działo krzyczy tenorem na cały jarmark:

— Kwasek, kwasek! Bije w nos! Aż kipi, wrze, niech pije, kto chce!

Wysoki, jasnowłosy chłop w ciepłym czapce zsunął na tył głowy, chodzi wśród tłumu z ogromnym białym bochenkiem chleba pod pachą, idąc napycha nim sobie usta, żuje odrzucając w tył głowę i rozdymając nozdrza.

— A po czemu ten kwasek?

— Cała butelka — potrójna kopiejka, szklanka — kopiejka.

— A za grosz należesz?

— Za grosz, kochanku, to i wróbel się nie zamoczy!

Chłop żuje, myśli, wreszcie mówi z westchnieniem, ale stanowczo:

— Nie, za kopiejkę nie pójdzie. Kapitał nie pozwala!

1930.

MANIACTWO CZY METODA

(Dokończenie ze str. 1)

tuacji, które tak ożywiło naszych dotychczasowych politycznych indyferentów?

W poprzednim numerze „Kroniki” Julian Stawiński pisał — między innymi — o Johnie Steinbecku, pisarzu amerykańskim, który nie tak dawno występował przed mikrofonami Głosu Ameryki i Wolnej Europy, a obecnie jest jednym z aktywniejszych wyrażycieli idei pokojowego współistnienia. Bertrand Russell, głośny angielski filozof, ongiś chwalebny bomby atomowej — mówi dziś o konieczności rokowań. Czemu to obaj ci panowie — a wraz z nimi wielu innych — zmienili swe zapatrywania, czemu oni właśnie dokonali zgola „dramatycznego zwrotu” w swych sądach i wypowiedziach publicznych? Czemu to premier wielkiego, burżuazyjnego państwa, jakim są Indie, staje w opozycji do swych niedawnych mistrzów z Waszyngtonu i Londynu, zabiega o nawiązanie kontaktów z ZSRR i krajami demokracji ludowej? Chyba stało się tak nie dlatego, że — jak to utrzymują mistrzowie lamańskich interpretacji — tendencje demokratyczne radzieckich mas ludowych doczekały się odbicia w polityce KC KPZR i rządu ZSRR. Przecież przy największej dozie dobrej woli trudno i Steinbecka i Russella i Nehru traktować jako ludzi, którym przede wszystkim leży na sercu sprawa sytuacji wewnętrznej w ZSRR; bliższą ciążą koszuła, bliższe tym panom ich własne narody. I tu jest — mówiąc metaforycznie — pies pogrzebany.

Istotnie, nastąpił w sytuacji międzynarodowej wyraźny, choć wcale nie „dramatyczny” jeszcze zwrot. Polega on na tym, że praktyka „zimnej wojny” schodzi za kulisą a na scenę wypływa praktyka „koegzystencji”. Kto postanowił nie ograniczać się do polityki „zimnej wojny”, Eisenhower czy Bułganin? Odpowiedź na to pytanie zbyt techniczna. A dalej — czemu Eisenhower doszedł do wniosku, że nie warto straszyć bombą, że lepiej zacząć rozmawiać? Może — wbrew intencjom Watykanu — myśli tą podstępnał mu Duch Święty? Nie szukajmy źródeł owego natchnienia w tak górnych i tajemniczych rejonach; przypomnijmy sobie raczej, czyja postawa i czyja konsekwentna polityka poruszyła w obronie pokoju milionowe masy ludzi na całym świecie, zażegnała pożar koreańskiej wojny, doprowadziła do spacyfikowania sytuacji w Wietnamie. Przypomnijmy sobie, wreszcie, jak to fiasko monopolu na bombę atomową i wodoro-woś uświadomiło politykom imperialistycznym, że wojna niesie im nie tylko perspektywę większych zysków lecz także i perspektywę biologicznego

zniszczenia. Warto od czasu uświadomić sobie te elementarne fakty. Choćby po to, aby nie dać ponieść się politycznej fantazji — tendencji zgubnej dla każdego, kto chce rozumieć świat i jego drogę. A drogę tę zobaczyć nie trudno: wyznacza ją gorące i głębokie pragnienie pokojowego życia, tęskniące w sercach milionów ludzi tak mocno i głośno, że liczą się z nim nawet ci, którzy do niedawna snuli zgola inne plany. „Pokoju” będzie utrzymywany i utrwalaony, jeśli narody ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą broniły jej do końca. Słowa te brzmią niegdyś jak wezwanie, dziś — są programem działania realizowanym coraz powszechniej.

Ciekawa rzecz: tego wszystkiego nie widzą nasi komentatorzy spraw tego świata. Dla nich — ludowe masy radzieckie prą do demokratyzacji swego życia. Dla nich — pod naciskiem tych mas dokonał się dramatyczny zwrot w polityce ZSRR, którego przywódcy porzucają stalinowską taktykę „zimnej wojny” i wywieszą sztandar „koegzystencji”. Dla nich — świat toczy się naprzód dzięki serwisowi Eisenhowera i ewenementom bułganinowskiego pikniku. Oni także szepczą już tu i tam, że tylko patrząc jak Adenauer „dogada się” z Bułganinem w sprawie rewindykacji Ziemi Zachodnich. Na pierwszy rzut oka wygląda to wszystko jak polipolite maniactwo a przecież ludzie wypowiadający owe poglądy, to najczęściej ludzie bardzo trzeźwo i umiejętnie organizujący swe sprawy i — czasem — sprawki. Czyżby ich zmysł praktyczny ułatał na podobieństwo kamfory wówczas, gdy przyjdzie im rozstrząsać sprawy publiczne?

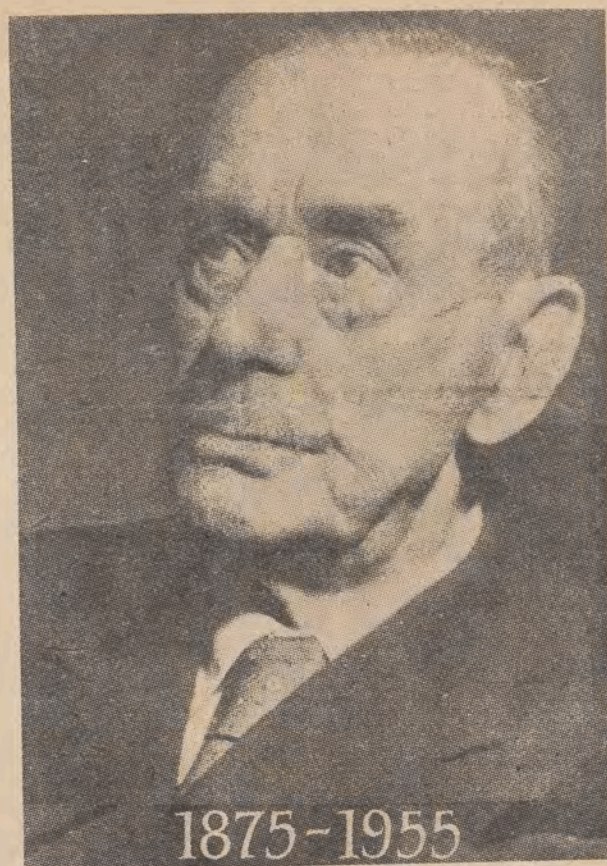
Być może, że i tak bywa, ale rzadko. Najczęściej jednak jest — po pierwsze — absolutna niemożność zrozumienia patriotycznych dążeń radzieckich mas ludowych; stąd gadanina o „gniewie ludu” ujawnionym w powieściach Erenburga, Panowej czy Niekrasowa. Jest — po drugie — tęsknota do stwierdzenia istotnych, nieuleczalnych schorzeń w ustroju socjalistycznym, namiętne pragnienie znalezienia jakichś pierwotnych, dezorganizujących świat błędów polityki radzieckiej; stąd obracanie na wszystkie strony „berio-wszczyzn”. Jest — po trzecie — przeświadczenie, że losy krajów i narodów decydują się „przy zielonych stolikach, według własnego „widzimisie” mężów stanu; stąd podniecenie serwisami, piknikami itp. Wszystko zaś razem składa się na spłowiałe, obdrapane marzenia burżuazyjnego liberała, śniącego o tym dniu, w którym objawi się światu „wielka

prawda”, o moralnym i politycznym krachu radzieckiego państwa. Jak wiadomo, nie jest to marzenie nowe; można odnaleźć je i tu i tam od 1917 roku, ściślej — od dnia zwycięstwa Wielkiej Październikowej Rewolucji. Jak dotąd marzenie to nie może się zrealizować choć, jak uparczywa czkawka, powtarza się przy lada okazji. Obecnie okazją tą stał się niezaprzeczalny fakt zwycięstwa zasady pokojowego współistnienia ustrojów na arenie międzynarodowej, a karkołomne lamańskie komentarze polityków od siedmiu boleści usiłują temu sukcesowi sił pokoju nadać znamiona odwrotu i rezygnacji. Oto dlaczego ożywienie polityczne pewnych — nielicznych zresztą, choć gadatliwych kół naszego społeczeństwa — nie jest zjawiskiem wyłącznie pozytywnym.

Ofensywność dyskusyjna ludzi, o których mówimy, sprawia, że ich poglądy i wnioski — w całej swej wspaniałości lub we fragmentach — rozchodzą się szeroko, budzą gdzieś gdzie wątpliwości i dozorowanie. Wbrew swym elementarnym obowiązkom wątpliwościami tymi nie zajmują się — jak dotąd — ani prasa ani radio; nie ma, w zasadzie, prób podjęcia otwartej polemiki z tym konsekwentnym, co do politycznej tendencji, systemem sądów jaki próbowałoby nam naszkicować. Niedobrze, że tak się dzieje, niedobrze, że wykrętasz spekulancję dyalektyki polityków od siedmiu boleści sięją tu i ówdzie wątpliwości w słuszność politycznych decyzji Związku Radzieckiego. Niedobrze, że ten problem nie został szerzej i głębiej przedyskutowany przed rozpoczęciem Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni.

Nie przeceniamy, rzecz jasna, znaczenia tej akrobatycznej dywersji ideowej; doświadczenia jedenastu lat i realistyczny rozsądek polityczny naszego narodu przeciwstawiają się jej bez trudu. Cierpiącemu na czawkę radzi mądrość ludowa zamknąć usta, załkać nos i powstrzymać oddech tak długo, aż w uszach zadzwoni. Sposób ten skutkuje przy czkawce fizjologicznej; czy leczy także czawkę polityczną — nie wiadomo. Ponieważ jednak czkawka — jakiej by nie była natury — to rzecz przykra i upokarzająca, radzimy cierpiącemu na nią zastanowić się chwilę nad słowami Bułganina wypowiedzianymi na dyplomatycznym pikniku. (Wybieramy ten fakt, wiedząc, że ogromne znaczenie przypisują koła z którymi polemizujemy do pikników, rautów, cerclów itp.) Zapytany o to, co najbardziej ciekawego w Anglii, premier ZSRR odrzekł: „Lud. Lud to rzecz najważniejsza”.

EDWARD SZUSTER



TOMASZ MANN

Przyszłość świata

Mieszczanin - obywatel*) zginie zatrącając związek z nowopowstającym światem, jeśli się nie zdobędzie na to, aby odseparować się od zabójczych nastrojów i sprzecznych z życiem ideologii, które dotychczas jeszcze dźwiga go w swej mocy, i aby odważyć się stanąć po stronie przyszłości. Świat nowy, świat społeczny, zorganizowany świat jedności i planowego życia — świat, w którym ludzkość będzie wolna od stojących na niższym niż człowiek poziomach, zbędnych, obrażających godność rozumu cierpień — ten świat przyjdzie, a będzie dziełem tej trzeźwości wielkiej, do której dziś już przynajmniej się wszyscy odwracają się z niechęcią od zafatowanego, przestarzałego, drobniomieszczancko-tego dusz składu. Świat ten przyjdzie, bo racjonalny ład zewnętrzny odpowiadający już osiągniętemu przez umysł ludzki szczytowi rozwoju musi być stworzony albo w najgorszym razie wprowadzony w życie przez gwałtowny przewrót, aby to co jest z duszy mogło dopiero zyskać w ludzkości swe prawo do życia i czyste sumienie. Wielcy synowie ustroju mieszczańskiego - obywatelskiego, którzy z ustroju tego wyrastając wnieśli się w świat ducha i ponadmieszczanckości, dają świadectwo temu, że w mieszczańskie obywatelskości kryją się możliwości nie znające granic — możliwości bezkresnego wyzwala- nia się i przezwycięzania samych siebie.

Myślę, że niepodobna posadzać mnie o to, bym był szermierzem komunizmu. Nie mogę wszelako nie widzieć czegoś zabobonnie przesadnego i dziecinnego w tym przerażeniu, w którym wyraz komunizm przejmując świat mieszczański — w tym przerażeniu które tak długo utrzymywało przy życiu faszyzm; nie mogę nie widzieć w tym zasadniczego głupstwa naszych czasów.

Komunizm jako wizja jest o wiele starszy od marksizmu i zawiera też w sobie pierwiastki ze świata przyszłości dopiero. Jest od marksizmu starszy, bo już na schyłku średniowiecza religijne ruchy ludowe nosiły charakter eschatologiczny - komunizyczny: już wówczas ziemia, woda, powietrze, zwierzęta, ryby, ptactwo miały stanowić wspólną własność wszystkich, już wtedy i panowie mieli mieć obowiązek pracowania na chleb powszedni, a wszelkie ciężary i podatki miały być zniesione. Komunizm przeto starszy jest od Marksa i od 19 wieku. Do przyszłości zaś należy on o tyle, że świat, który po nas przyjdzie, w którym żyć będą dzieci i wnuki nasze, a który zaczyna swobodnie odsłaniać swe zarysy — ten świat z trudnością tylko można wyobrazić sobie bez pewnych cech komunizycznych, czyli bez podstawowej idei pospólnego prawa własności dóbr tej ziemi i prawa do korzystania z nich przez wszystkich, bez coraz to dalej postępującego wyrównania się różnic klasowych, bez prawa do pracy i obowiązku pracowania wszystkich.

* * *

A Rosja? — Można za zły uważać przykład polityki wewnętrznej, który daje ona światu, i można się tego przykładu obawiać. Lecz nie da się zaprzeczyć, że moralna natura wszelkiego prawdziwego socjalizmu sprawdza się i na Rosji. Należy ją uznać za jedną z sił pokoju i stwierdzić, że w tym charakterze oznacza ona wzmocnienie demokracji. Nie jest to dziełem przypadku ani kwestią polityki tylko, lecz sprawą moralności, kiedy Rosja jako siła pokojowa staje po stronie wielkich i małych demokracji: Anglii, Francji, Ameryki, Czechosłowacji itd. Gdy chodzi o pokój, socjalizm i mieszczaństwo - obywatelska demokracja do jednego należą obozu, sens pokoju bowiem tkwi w pewnym zadaniu natury wewnętrznej, w pracy rozumianej w najszerszym, najmoralniejszym znaczeniu tego słowa — w pracy narodów nad samym sobą. A natomiast wojna jest próżniactwem w sprawach moralności, hultajską awanturą, wymykaniem się na wagary, aby uniknąć wielkich i nagłych zadań poprawiania epoki naszej — tych zadań, które stawia przed nami pokój i które tylko w czas pokoju mogą znaleźć rozwiązanie. Być może iż nie mam w sobie dosyć zrozumienia tego, co ze strony Rosji zagraża kapitalistycznemu - obywatelskiemu porządkowi życia, bo nie kapitalista ze mnie. Tyle wszelako widzę, że Rosja w niczym nie grozi temu, od czego zawisło wszystko: pokojowi!

* * *

Ja jestem tego zdania i w tym pokładam nadzieję, że właśnie z cierpienia oraz potrzeb tego czasu przejściowego może i powinno wyjść nowe poczucie solidarności ludzkiej, że może i powinien wyjść stąd nowy humanizm, nowe głębokie, ba! nawet zabarwione religijnie odczucie tego, co ma ciężkiego w sobie, jednorazowego i nadzwyczajnego położenie ludzkości w całokształcie bytu, jej sytuacja pomiędzy światem przyrody i zwierzęcością a światem tego co duchowe — słowem, odczucie zagadki człowieka, tajemnicy będącej jego przeznaczeniem i zarazem wielkim jego wyróżnieniem. Powtarzam tedy: ciche, czyste duchowe, pozbawione wszelkiej programowości wytworzenie się takiego nowego humanistycznego poczucia solidarności oraz przeznaczenia mogłoby wesprzeć ludzkość w ciężkim i tak zawiśle wyglądającym jej zadaniu wzniesienia się na nowy szczybel społecznej dojrzałości. Albowiem, że o to zadanie dziś chodzi, o ten wysiłek rewolucjonizujący, że ludzkość zamierza właśnie wkroczyć na taki nowy szczybel — co do tego chyba żadnych wątpliwości być nie może. Ten wyteżony trud i usiłowania, o których tu mówię, w najrozmaitszych formach i przejawach są na świecie wszędzie, na Wschodzie i na Zachodzie. Lecz ponad wszystkimi tych form różnicami musi — pozwolicie, abym wyraźnie to oznajmił — musi stać tu świadomość tego, że nie wolno, aby miały przy tym zginąć pewne w ciężkim moloze przez ludzkość wywalczone jej zdobycze, o których wyzbyciu się mowy być nie może: wolność, prawo i godność jednostki, lecz że one — bodajby w postaci związanej przez warunki wzmożonych obowiązków społecznych — muszą być i przyjęte, i święcie zachowane, i przekazane przyszłości wraz z wszystkimi innymi zdobyczami.

Tłum. KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

*) w oryginale — Buerger. Znaczy to tyle co, mieszczański, obywatel, podstaw. termin określający postępowe kręgi mieszczaństwa.

Sprawa Conrada

PRZED paroma miesiącami ukazało się pierwsze w języku polskim książkowe wydanie „Losu” Josepha Conrada — obydwie tomy tej doskonałej powieści w jednym opasłym woluminie, który mimo dwudziestostyśmioletniego nakładu całkowicie zniknął z półek księgarskich w przeciągu kilku dni. Jak sobie przypominamy, jest to, poza PAX-owskimi „Opowieściami wybranymi”, pierwszy od pięciu lat wydany u nas tom Conrada.

Niechętny, leśdliwy stosunek wydawców i krytyki literackiej do Conrada w ciągu ubiegłego pięćdziesięciu lat był na przykład nieporozumieniem, krzywdzącym wielkiego pisarza. W konkretnej sytuacji politycznej pierwszych lat powojennych pewne aspekty ideowe twórczości Conrada, jak np. jego koncepcja honoru, domagająca się wytrwania do ostatka na straconej pozycji, wyzykiwane były przez wroga wobec nowej rzeczywistości elementy dla uzasadnienia ich własnej, skazanej na przegrana, postawy. I z tego przede wszystkim punktu widzenia poddawany był wówczas Conrad krytyce ze strony postępowej publicystyki. Jednak później dokonano u nas, jeżeli nie *expressis verbis*, to w każdym razie w praktyce ruchu wydawniczego i krytyki literackiej, pewnego wysoczenia nieślusznego i całkowicie nieuzasadnionego przesunięcia. Polegało ono na rozciągnięciu powyższych sądów, ściśle związanych z konkretną sytuacją polityczną, na całokształt twórczości Conrada.

Zresztą, mimo niepomysłnego dla Conrada oficjalnego kursu, nie przestało on być ani na chwilę ulubionym pisarzem licznych kręgów naszych czytelników. Wymownym tego dowodem stała się przeprowadzona w ubiegłym roku na łamach „Przeglądu Kulturalnego” ankietowa w sprawie postulatów wydawniczych, której uczestnicy na jednym z pierwszych miejsc domagali się właśnie Conrada. Od tego czasu sytuacja w tej dziedzinie uległa pewnej poprawie. Mamy już w ręku tłumaczenie „Losu” (jednej z tych kilku pozycji, które nie zdążyły się ukazać w nieukończonym z powodu wybuchu wojny zbiorowym wydaniu dzieł Conrada), a ponadto PIW zapowiada przygotowanie kilkunastotomowego wyboru jego powieści i opowiadań.

Sądze, że najbardziej charakterystyczne i cenne cechy conradowskiego piarstwa można określić jako zespolenie głęboko humanistycznego zainteresowania człowiekiem (stał się wnikliwa analiza psychologiczna przeżyć jego bohaterów), egzotyki, w najlepszym rozumieniu tego słowa, oraz wspaniałego, realistycznego rzemiosła pisarskiego. Dlatego też wydaje mi się, że „Los” jest powieścią pod wieloma względami dla Conrada typową i chyba nieźle się stało, że właśnie od niej rozpoczęły nasze wydawnictwa spłacanie długu zapamiętania, jaki w ciągu ostatnich lat zaciągnęły wobec jego autora.

Róża Jabłkowska, autorka postawia do PIW-owskiego wydania „Losu”, nieco wypaczyła i wskutek tego pomniejszała wartość oraz problematykę tej znakomitej, moim zdaniem, powieści. Jabłkowska przy omawianiu „Losu” skoncentrowała uwagę przede wszystkim na „finansistce de Barrala” i na podstawie twierdzenia, że opis jego spekulacji wypadł nieprzekonywująco, w czym znać brak zorientowania autora w tej sferze zagadnień, doszła do wniosku, że „Los” nie należy do najlepszych utworów wielkiego pisarza. Zgadza się całkowicie, że partie poświęcone spekulacjom finansowym de Barrala nie są mocną stroną omawianej książki, ale też nie stanowią — jakby należało wnioskować z lektury postawia — o jej wartości i znaczeniu.

Conrad niejednokrotnie zaskakuje nas dużą przenikliwością w kreśleniu społecznego tła opisywanych wydarzeń. Mało jest w literaturze utworów tak bezkompromisowo demaskatorskich wobec europejskiego kolonializmu, jak „Jądro ciemności” i „Placówka postępu”. Ukazana z dużym krytycyzmem społecznym problematyka krajów kolonialnych występuje również w powieściach „Szeleństwo Almayera” i „Wykolejaniec”. W „Nostromo”, bogatej panoramie życia południowo-amerykańskiej republiki u schyłku ubiegłego stulecia, dostarcza Conrad ekspansję amerykańskiego imperializmu na zacofane gospodarczo tereny. Ale to wszystko były zagadnienia, o których pisarz stykał się nieustannie w ciągu swych morskich podróży, które mógł dokładnie poznać i przemysleć. Natomiast stosunki londyńskiego City

stanowiły dla niego dżunglę nie do przebycia. Nic zatem dziwnego, że finansowe kombinacje de Barrala, potrzebne do całokształtu powieści, zostały ukazane mimochodem, że nie one stanowią rdzeń utworu.

Wartość i znaczenie „Losu” tkwi według mnie przede wszystkim w tym charakterystycznym dla Conrada zainteresowaniu osobowościami ludzkimi, w pasji analizowania i tłumaczenia ludzkich zachowań, w poszczególnych konkretnych sytuacjach oraz w wielkim artystycznym mistrzostwie, z jakim te zainteresowania autora zostały przeprowadzone.

Zwróćmy najpierw uwagę na niezwykle ciekawą strukturę formalną omawianej powieści. „Los” jest napisany przy pomocy często przez Conrada stosowanej metody wielowarstwowej narracji. Jednak zazwyczaj utwory Conrada, wprowadzające postać narratora, posługują się dwuwarstwową narracją. O losach Jima czy Kurza z „Jądra ciemności” dowiadujemy się z opowiadania narratora — Marlowa wobec grona słuchaczy, wśród których znajduje się i „ja” autora. W „Smudze cienia” obserwujemy zespolenie narratora i „ja” autorskiego, w wyniku czego narrator stał się zarazem bohaterem opisywanych wydarzeń.

Natomiast struktura „Losu” jest o wiele bardziej złożona. Pozornie sytuacja wygląda podobnie jak i w innych utworach Conrada: narrator — Marlow (poza pierwszym rozdziałem, gdzie narratorem jest Powell) opowiada autorskiemu „ja” o dziejach Flory de Barral, jej ojca i kapitana Anthony. Jednak narrator zna relacjonowane wydarzenia jedynie w drobnej części z autopsji. Poza tym konstruuje całość opowieści na podstawie tego, czego on sam dowiedział się z ust państwa Fyne, Powella, a nawet samej Flory. Użył tu celowo określenia „konstruuje całość opowieści”, gdyż to, czego Marlow dowiadywał się od swoich rozmówców, było niejednoznaczne, niepełne, porwane i dopiero on sam musiał łączyć poszczególne informacje i wyciągać z nich wnioski. Opowieść Marlowa ma częściowo charakter narracji ciągłej, podającej wydarzenia w sposób uporządkowany, ale czasami przytacza on bezpośrednio, w formie dialogu, rozmowy ze swymi informatorami i ukazuje nam w ten sposób „in flagranti”, jak powstawała i rozwijała się jego znajomość opisywanych wydarzeń. Najbardziej charakterystycznymi przykładami tej ostatniej metody, która umożliwia czytelnikowi bezpośrednie obcowanie z kształtowaniem się fabuły powieściowej, są rozmowy Marlowa z panią Fyne w rozdziałach „Podwieczorek” i „Flora” oraz z samą Florą w rozdziale „Na chodniku”. Ciąg narracji Marlowa jest przerywany jego własnymi „odautorskimi” uwagami, dotyczącymi relacjonowanych wydarzeń; nie dość na tym, „ja” autora nie ogranicza się tutaj do biernej funkcji słuchacza, ale współuczestniczy w opowiadaniu. Podejmuje z Marlowem dyskusję na temat wniosków ogólnych, które wyciągał on z poszczególnych faktów.

Wybrana forma powieściowa umożliwiła autorowi niezwykle precyzyjne przeprowadzenie analizy psychologicznych przeżyć bohaterów. Akcja utworu została tutaj podana czytelnikowi nie w postaci w pełni wykończonych relacji „wszechwiedzącego” autora, ale najpierw zapoznawany się jedynie z pewnymi zewnętrznymi faktami, często specyficznymi zabarwionymi zależnie od osobowości informatora, a dopiero później sam Marlow, często przy współudziale swego słuchacza, czyli autorskiego „ja”, usiłuje wniknąć w wewnętrzne uwarunkowanie takiego a nie innego zachowania się interesujących go postaci.

Zaciekawienie Conrada tajemnicami psychiki ludzkiej ma humanistyczny charakter. Wynika z troski o zachowanie się człowieka w poszczególnych sytuacjach życiowych. Nie jest rzeczą przypadkową, że „Los” kończy się akcentem optymistycznym co, jak wiemy, nie jest częstym zjawiskiem w twórczości Conrada. Po szeregu straszliwych, nabrających niesamowitości wydarzeń, które los (ten przez małe „l”) zesał na drogę życiową młodej Flory — perspektywa małżeństwa Powella z wdową po kapitanie Anthony ukazana została w normalnych, ludzkich kategoriach. Kończymy lekturę „Losu” z przeświadczeniem, że tragiczny okres życia Flory należy do przeszłości, że nie podda się ona nigdy już obsesji o nieosiągalności szczęścia.

Dobrze się stało, że PIW umożliwił nam poznanie „Losu”. Czytelnik polski dostał do ręki nieznaną mu dotąd, świetną powieść, a zarazem uzyskał szansę uzupełnienia poważnej luki w znajomości spuścizny pisarskiej „jednego z najciekawszych” — jak napisał niedawno o Conradzie Jarosław Iwaszkiewicz — „pisarzy-prozaików, jakich wydała nasza ziemia”. Ale sam „Los” nas nie zadowolił. Czekamy z niecierpliwością na obiecane dalsze tomy Conrada. Bo jedna powieść nie zaspokoila naszego wzmożonego długotrwałym postem apetytu, ale go jedynie spotęgowała.

ROMAN TABORSKI



Woda wierniej odbija, niż piękne zwierciadła.
P. Hertz

LINIA wodząca od „Nocnej muzyki” i „Szary ciemności” do „Nowego lirnika mazowieckiego”, „Śpiewnika domowego” i „Katarynki”, była, powiedzmy sobie wprost, bezpiecznym traktem bez ryzykownych, nowatorskich zakrętów, bez szczególnej troski o korespondencję z tzw. współczesnością. Po drodze poeta wyrzucił stopniowo balast postsymbolicznego kanonu, balast obrazów, które nie posiadały jednoznacznych desygatów, pozostając przy tradycyjnych elementach budowy wiersza. W tej postawie tradycjonalisty niewrażliwego na „nowsze chwytły” tkwiło potencjalne niebezpieczeństwo, które ujawniło swój groźny profil w ostatnich wierszach. Jest to niebezpieczeństwo prostoty za wszelką cenę.

Narodziłom tej poezji bezpośredni patronował Napierski. Później Moréas, Verlaine, Blok, Jacob, Gide. Pierwsze dwa zbiorki były pełne konwencjonalnych, postsymbolicznych rekwizytów. Były tu echa modnego katastrofizmu, skłonność do inkrustacji poematów, do egzotyki zdobniczej w rodzaju: „srebrna rzeka”, „złote strzały”, „złocisty

Między Niniwą a Mazowszem

lew”, „złote schody” itp. Potem poeta świat rzeczywiście wymienia na świat sztuki, na reminiscencje literackie, autentyczne przeżycia — na rekwizyty i symbol zniszczenia. Przyjmując jednolity system obrazowania, poeta traktuje świat sztuki jako jedyny świat realny, obdarzając go niekiedy nawet atrybutami rzeczywistości. Poeta to przyrównuje siebie do Orfeusza, to znów nazywa się rzeźbiarzem milczenia. Pojawiają się „marmurowe płaszcze”, „marmurowe obłoki”, „kolumny milczenia”. Elementy życia i myśli zostają zmumifikowane i postawione na koturnach. Cechą tej poezji była statyka. Świat poeta oglądał przez symbole martwych miast — Troję, Niniwę, Syrakuzy, Agrigent, Pompeje.

Rezygnacja i smutek, atrofia żywych ludzkich uczuć płyną z refleksji nad przemijalnością wszystkiego. Świat sztuki jest doskonałym azylem. Wiemy, że poeta był w muzeach i galeriach, ale nie wiemy, co widział konkretnie. W najlepszym razie możemy ułożyć katalog rzeczy widzianych. Paweł Hertz rzeczywiście ulicami nigdy nie chadzał, a jeśli już niekiedy, to oczywiście ulicami Paryża. Chadzał uliczkami z obrazów Utrilla, z wierszy Maxa Jacoba i, oczywiście, tymi, którymi spacerowali wielcy ludzie. A przecież to Stefan Napierski, plac Via Toledo w Neapolu interesuje o tyle, że wtedy przechodził zasłuchany w siebie Fryderyk Hebbel. Było w tej obojętności poety na „rzecz ludzką” przekonanie, że posiada monopol na absolutnie piękno, niedostępne „barbarzyńcom i Scytom”.

„Małe ody i treny” przyniosły wiersz

Nowości wydawnicze

W. Owieczkin — „Sprawy dnia powszedniego” — Książka i Wiedza, Warszawa r. 1955.

Jest to zbiór dziesięciu utworów najlepszego współczesnego reportażysty radzieckiego, przeważnie o tematyce życia w kolchozie. Nie wszystkie zawarte w tomie opowiadania i reportaże mają jednakową wartość; wydaje się, iż za najlepszy należy uznać reportaż „W tym samym rejonie”. Owieczkinowi udało się tutaj spojrzeć głębiej na człowieka, wykryć jego nie zawsze proste i jasne pobudki działania. Z przyjemnością czytelnik spotka się z opowiadaniem „Dziadek Pomylka”. Najbardziej jest opowiadanie pierwsze „Prawdziwi ludzie”. Mało cierpliwego czytelnika może ono zniechęcić do książki, ze szkoda dla innych utworów. Przekłady M. Traczewskiej i J. Piotrowskiej na ogół poprawne.

Taras Szewczenko — „Utwory wybrane” — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa r. 1955.

Ukazał się wreszcie od dawna oczekiwany wybór utworów poetyckich największego poety Ukrainy — Tarasa Szewczenki, pod redakcją Włodzimierza Słobodnika, z posłowiem i przypisami Mariana Jakubca.

Wśród autorów przekładów znajdujemy nazwiska poetów dawnych (piękne przekłady Syromokli) i współczesnych, w liczbie tych ostatnich pisarzy łódzkich: Jana Czarnego, Tadeusza Chrościelewskiego, Marlena Plechala, Eleonory Słobodnikowej i Włodzimierza Słobodnika. Książka pięknie wydana, zadolna smak wybrednego nawet czytelnika.

Adam Polewka — „Kocham i nienawidzę” — Wydawnictwo Literackie, Kraków r. 1955.

Jest to pokaźny wybór artykułów i felietonów drukowanych przeważnie w krakowskiej prasie codziennej i w warszawskich „Szpilkach”.

Za namową osób bliskich i literatów Kraszewski zgodził się na redagowanie pisma. Dziesięcioletnia praca redaktorska zabrała mu czas, spokój i zdrowie.

Na swoje wydawnictwo znalazł nakładce. Był nim wileński księgarz Teofil Glücksberg. Zobowiązał się on płacić Kraszewskiemu za wszystkie czynności redaktorskie i artykuły pisane do „Ateneum” zaledwie sto dukatów rocznie. Pismo nie mogło wychodzić regularnie, było w sześciu tomach na rok wydawanych, zbiorem rozpraw i badań z zakresu sztuki, historii, krytyki.

W prospekcie z 1840 roku redaktor gorąco zapraszał autorów do współpracy, jak to było w większości wypadków przyjęte „bezpłatnie”. Nie sądzim — pisze — aby u nas powszechna, a wstyd nam czyniąca obojętność na sprawy literatury i nauki do tego stopnia doszła, aby literaci i uczeni nawet nią zarażeni być mogli, i pewni jesteśmy, że oni przynajmniej nie odmówią nam czynnej pomocy.”

Kraszewski po wydaniu pierwszego tomu śmiało mówi: „Zadane u nas pismo zbiorowe w takim krótkim czasie pochlubić się nie może, że zebrało tylu prenumeratorów i współpracowników znakomitych i przyniosło tyle nowych i oryginalnych pomysłów.”

Wydawnictwo istniało w wyjątkowo trudnych warunkach. Redagowane było siedemdziesiąt mil od miejsca druku. Z Gródka pod Łuckiem szły materiały do pisma drukowanego w Wilnie.

Kraszewski sam był redaktorem i sekretarzem pisma. Przepisywał własnoręcznie cudze i swoje artykuły.

„Druk szedł o lepsze z kalendarzami,

Tom składa się z trzech części: pierwszej o tematach krakowskich pt. „Tradycje trzeba przewietrzyć”, drugiej, zawierającej polemiki z reakcją polityczną pt. „Obywateli w odpowiedzi” i trzeciej, najmniejszej pt. „Listy do redaktora „Szpilek”.

Są to felietony pisane z wprawą i ciętością, właściwymi Polewce, czyta się je łatwo, za najciekawszy uważa wypadnie cykl drugi artykułów, adresowanych do czytelnika nie tylko krakowskiego.

Iwan Panajew — „Wspomnienia literackie” — Państwowy Instytut Wydawniczy, W-wa r. 1955.

„Wspomnienia literackie” ukazały się w zapoczątkowanej przez PIW „Bibliotecze Pamiętników Polskich i obcych”, które wydawane będą pod redakcją Wacława Zawadzkiego. Iwan Panajew opowiada w swym ciekawym pamiętniku o pisarzach, dziennikarzach, redaktorach i życiu literacko-kulturalnym Rosji w latach 1830—1850. Jest to nadszyczał pasjonująca lektura, zwłaszcza, że autor doskonale przy tym maluje tło epoki. W ten sposób czytelnik uzyskuje plastyczny obraz życia tamtych lat Rosji carskiej, walkę kół postępowych (do których należał autor wspomnień) o głęboką humanistyczną literaturę i kulturę rosyjską. Poznajemy bliżej takie postacie literatury rosyjskiej jak Puszkina, Gogola, nade wszystko zaś Bielłińskiego, którego Panajew cenił wysoko i był jego długim przyjacielem. „Wspomnienia literackie” Panajewa napisane żywo, z dużą kulturą i talentem literackim, dają lepszy wgląd w opisywaną przez niego epokę, niż niejedno z tzw. dzieł naukowych.

Książka zamyka zwięzłe postowie Leona Gomolickiego o autorze wspomnień oraz sumiennie sporządzone przypisy i objaśnienia.

HALINA M. DĄBROWSKA

Kraszewski

żeby go wyrugować, bibuła szara, nad wszelki wyraz licha obrażała oczy i skórę na rękach czytelnika, lecz wypierała powoli lekturę inną, mniej wartościową. Cena „Ateneum” wynosiła 6 rubli za sześć tomów. Pismo poza zapowiedzianymi w prospekcie działami: literackim i krytycznym, prowadziło dział filozoficzny.

Usiłował również Kraszewski zaznaczyć ogół ze zdobywcami nauki doświadczonej, z techniką i przyrodą. Wobec tego, że nie miał specjalistów w tej dziedzinie, wziął się sam do referowania odpowiednich książek. Wskazuje to, że interesował się żywo wiedzą ścisłą i doceniał jej znaczenie, ... Oprócz polskiej beletrystyki wprowadza również słowiańską. Zamieszcza w „Ateneum” przekłady z rosyjskiego. Między innymi: „Martwe Dusze” Gogola, rapsośd „O carze Iwanie Groźnym” Lermontowa i Klechdy, a także liczne tłumaczenia z czeskiego.

Pod naciskiem ścierających się prądów „Ateneum” nie miało zdecydowanego oblicza. Kraszewski usiłował stosować „złoty środek”, ale mu się to nie udało. Gdy już oficjalnie jakiś kierunek czy pogląd ogłosił — wnet go musiał odmieniać. Raz oświadczał, że „Ateneum” będzie mieć „na względzie zwrócenie umysłów na drogę religijnych idei” i stanie do walki „z niewiarą i sceptycyzmem material-

zaczynający się od słów „Pozwól mi konie wierszy głodzić”, wiersz, będący wyrazem rozdarcia wewnętrznego poety, który trwał nadal na pozycjach de stylowanej estetyki. Zawierał on nieśmiałą sugestię, że przecież „złoto i marmur” mogą być przydatne na nową budowę. Pojawia się teraz próba pojednawczych gestów w stronę współczesności. Są one jednak przez towarzyszące im refleksje, że przecież „jedno życie za krótkie bywa dla dwóch wiośen, dwóch nieśien, dwóch trudów”, stopedowane. Stulecie jest obce autorowi i trudno mu zostać zdradząc ulubionych książek, snu, podróży, choć rozumiejąc dialektykę przemian, powtórzmy to raz jeszcze, przynajmniej słuszność chłopu, który, podając mu szorstką rękę, drugą — kładzie autorowi na karku.

Nasuwa się pytanie, czy poeta istotnie, jak sądził, „świat dotyka ręką Greka”? Czy w ten sposób sztuka grecka i rzymska reagowała na świat? Czy stylizacja może zastąpić żywe, autentyczne przeżycie? Są to złudzenia klasycyzmu. Podjęcie metrum klasycującego, użycie apostrofy, utrzymanie wiersza w beznamiętnej temperaturze nie decyduje o klasycyzmie w roku pańskim 1955. Jak zawsze rozstrzyga tu wizja poetycka, język. Oczywiście, nieporozumienia będą trwać tak długo, dopóki będziemy patrzeć na tradycję przez jeden lub niektóre elementy struktury poetyckiej.

Przejęcie do „Nowego lirnika mazowieckiego” 1951 r. było konsekwencją przemian, sygnalizowanych wcześniej. Pozytycy poety „współczesnego” były Hertzowi najbliższe. Sam wybór nas nie zaskoczył, jeśli przypomni sobie, że to właśnie Stefan Napierski radził: „Teodor de Banville jest po prostu jasnym. U nas odpowiednikiem byłby wciął jeszcze niedoceniony, rzec można nie odkryty Lenartowicz. „Nowy lirnik mazowiecki” jest urzekająco prosty. Za te proste poety pociągnęła wysoka cena, nadwyrężająca poważnie kapitał artystyczny poematu. Np. zasada obrazowania według wzorów poezji ludowej poeja została bardzo dosłownie, bez próby zmodernizowania, a tradycyjny sylabowicz raz po raz skutecznie szantażuje poeie znaną i wielokrotnie przed nim parafrazowaną konwencją. Natomiast na pewno cenna jest wizja rzeczywistości widziana oczami pańszczyźnianego chłopu.

Wierszom ze „Śpiewnika domowego” i z „Katarynki” przyświeca nadal wersyfikacja tradycyjna z jej bardzo już dzisiaj ryzykownymi rymami. Już trzeba mówić o przyciaganiu treści przez takie układy rymów? Słyszmy tu Puszkina, Mickiewicza, Szewczenkę, Lenartowicza i w dalszym ciągu poeta nie jest obojętny na pewne doświadczenia zagaystów. Jest i Broniewski, ale oczywiście ten z „Drzewa rozpaczającego”.

Jak słysząc ostatnio, Paweł Hertz wyprowadził nie na żarty z równowagi naszych działaczy kultury. Jeszcze jedna emanacja heroizmu pieśni „wyklej” i uporu, który bądź co bądź dał na pewno ciekawe psychologiczne dokumenty procesowi niepowtarzalnego i wzbogacającego nas w wiedzę o świecie współczesnym. Ale dokumenty poetycko mniej interesujące. Chyba, że będziemy chwalić autora za rudymen-tarne prawo liryki — za logiczną budowę wiersza i za jasną składnię.

JERZY WALEŃCZYK

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKLADEM RSW „PRASA”

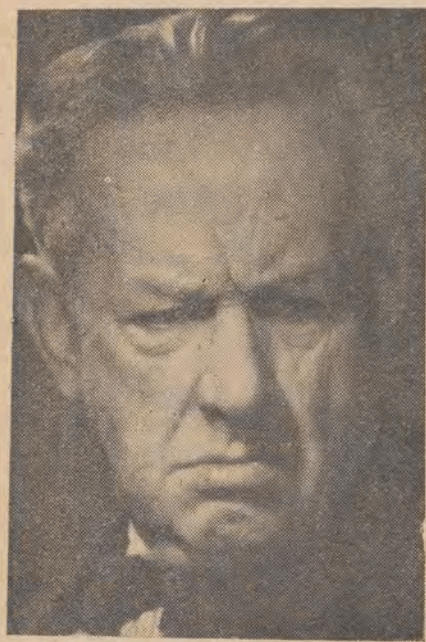
Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rekopisów nie zamówionych
nie zwraca się

Prenumeratę miesięczną wnosząca
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirki 17. Zam. 2806. N. 6100 Pap.
druk. sat. 60 g, V kl. VIII. 55. D-6-16639

HALINA M. DABROWOLSKA

Aleksander Zelwerowicz



SPRAWA teatru i pedagogii wypełnione było całe życie Aleksandra Zelwerowicza. Wypełnione było od owych chwil chłopięcych, gdy dyrektor goszczącego w Warszawie teatru łódzkiego zaangażował młodego gimnazjalistę do wypowiedzenia kilku zdań w szekspirowskiej „Komedii o myleku”. Od tego zwłaszcza momentu, kiedy władze carskie wypędziły Zelwerowicza ze wszystkich szkół średnich ówczesnego Królestwa Polskiego — za to tylko, że przekroczył surowy zakaz oglądania przez uczniów przedstawień w teatrach ogródkowych. Teatrem, jego problemami, wypełniło się życie Aleksandra Zelwerowicza, już nieodwołalnie od tej chwili, gdy ukończył Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Warszawie, odbywszy dwa lata studiów społecznych w Genewie i przebywszy w 7 miesięcy dwuletni kurs szkoły dramatycznej zaangażował się najpierw na scenę łódzką, a potem, w roku 1900, do sławnego w całej Polsce, górującego śmiałym repertuarem, teatru krakowskiego. Bujne życie kulturalne ówczesnego Krakowa wciągnęło Zelwerowicza. Bierze on udział w prapremierze „Wesela” i w zaścianizowanych przez Wyspiańskiego „Dziadach”. Podbiła Kraków brawurowo zagranymi rolami charakterystycznymi, w „Nadziei” Heyermansa i „Odrodzeniu” Schöntana. Wzruszył głęboko przeżyta dola Wujaszka Wani. Zaimponował pierwszymi pracami reżyserskimi.

Już po 8 latach młody aktor i reżyser, dzięki własnej tylko zasłudze i talentowi, dorobił się funkcji dyrektora teatru w Łodzi. Zelwerowicz od razu montuje tu młody, ale jednolity artystycznie zespół aktorski. Ze sceny łódzkiej zaszła publicznosc z utworami naszych wielkich romantyków i z Wyspiańskim. Pierwszy w Polsce organizuje przedstawienie dla robotników. A chociaż dwa kolejne pożary chwilowo zniszczyły rezultat tej pracy, nie unicestwiły przełomowego jej znaczenia: tego myślowicie, że Zelwerowiczowi udało się zszeregować w Królestwie, na scenie łódzkiej, a następnie warszawskiej, dorożek długoletniej, krakowskiej kultury teatralnej: wielki repertuar narodowy, klasyczne romantyczne, sztuki neoromantyczne, styl tragiczny, poczucie zespołowości, dążenie do realistycznej prawdy w budowaniu scenicznych postaci, troskę o reżyserię i scenografię, świadomość odpowiedzialności ludzi teatru wobec narodu. Te wszystkie zadanie przygotowały grunt Teatrowi Polskiemu w Warszawie.

Z Teatrem Polskim wiąże się odtąd przeżycia część pracy twórczej, której przez lat z górą 40 dokonał Aleksander Zelwerowicz. Wędrował nieraz po Polsce w okresie pierwszej wojny światowej, wrócił na rok do Krakowa, potem na krótko przyłączył się do Reduty w roku 1925, stanął na czele postępowego, zaskakująco śmiałego Teatru im. Bogusławskiego, Raz jeszcze — na dwa lata — objął kierownictwo sceny łódzkiej. W roku 1930-31 wręcz z rocznikiem absolwentów szkoły teatralnej zreorganizował teatr wileński. Kilka lat przed ostatnią wojną pracował jako dyrektor w warszawskim Teatrze Narodowym. Po roku 1945 znów znalazł się w Łodzi, gdzie zagrał kilka nowych, znakomitych ról: Zebraka w „Judyce” Giraudoux, prof. Poleżajewa w „Nespokojnej starości” Rachmanowa, Twardowskiego w „Wielkonoce” Owińskiego, Księdza w „Weselu” Wyspiańskiego.

Leon Schiller powiedział o Zelwerowiczu, że on „jeden z pierwszych zaczął problematyzować swój warsztat teatralny”. Istotnie, Zelwerowicz był nigdy nienasyconym poszukiwaczem i odkrywca. Chociaż wcześniej osiągnął dojrzałość i siłę, choć zdobył sławę — szukał wciąż nowych rozwiązań, próbował groteski, gry buffo, żywiołowej farsy, ekspresjonizmu. Nie ustrzegł się omyłek. Ale i one nawet bogactwu jego artysty, bo umiał z nich skorzystać i wyciągać wnioski. W ostatnich latach, przed ostatnią wojną i w pierwszych latach powojennych, osiągnął Zel-

werowicz niezwykłą wprost siłę wyrazu, którą w krytyce określono jako żywioł intelektualizmu. Miał rzadko spotykaną na scenie pełnię i dojrzałość, swobodę i autorytet rozwijający rolę w obranym przez artystę kierunku.

Szczystość i pełnia stworzonych przez Zelwerowicza postaci scenicznych wynikała z faktu, że nie tylko nie odcinał się od życia — ale, wprost przeciwnie, mocnymi więzami się z nim łączył. Zelwerowicz był jednym z działaczy Związku Artystów Polskich, gdzie walczył o godność i poziom polskiego aktorstwa. Obserwował życie i ludzi, włożył się w długich pieszych wędrówkach po kraju, rozkoszował się zagranicznymi wycieczkami; w roku 1908, zaledwie opuściwszy wagon kolejowy po 36 godzinnej podróży, pobiegł na przedstawienie Moskiewskiego Teatru Artystycznego. Wyniosłszy z domu rodzinnego postępowe przekonania, pogardę dla nietolerancji i zacofania, Zelwerowicz pogłębiał te poglądy pracą całego życia. Rezultatem konsekwentnej postawy ideowej była kategoryczna odmowa jakiegokolwiek współpracy z teatrem okupacyjnym; nie przebaczył mu tego, jak dobrze wiadomo, hitlerowscy najeźdźcy. Po wojnie, wnieśli swym przekonaniom, wstąpił Zelwerowicz do PPR i PZPR; nawet w okresie coraz cięższej choroby nie uchylał się od zajęć społecznych. W latach 1952—1955 rozwinęła się jego działalność pisarska. Kilka pism zamieszczało jego znakomite, berwne, gorące a z wielką fachową wiedzą pisane eseje. Słuchacze Radia Polskiego niejednokrotnie zachwycali się recytacją Zelwerowicza.

Rezultatem gorącej wiary w ludzi a także potrzeby walki o człowieka i sztukę — była pedagogiczna działalność Aleksandra Zelwerowicza. Od lat 38 pełnił funkcję wykładowcy, opiekuna i dyrektora Wyższej Szkoły Teatralnej. To on zorganizował system nauczania aktorskiego, naśladowany potem w innych krajach. On wprowadził do naszego teatralnego szkolnictwa metodę i dyscyplinę, on określił stosunek do praktyki ćwiczeń w rzemiośle i pracy nad kształtowaniem postaci. Kilku dziesięciu wybitnych aktorów, pracujących na scenach naszych, zalicza się z dumą do grona uczniów i wychowanków „Zelwera”. Podnoszenie poziomu nauczania, dokonane głównie dzięki Zelwerowiczowi i Stanisławowi Wysockiej, przywróciło aktorstwu naszemu jego godność i należne miejsce w społeczeństwie. Pogłębiło niezbędną dla nowoczesnego aktora wiedzę i wyposażało aktorstwo w narzędzia poznawcze. Zbliżyło aktora do pisarza i uczono, nie odbierając mu żywiołowości. Pozwoliło przekazać z pokolenia na pokolenie zdobyte długim wysiłkiem pojęcia aktorskie, zasoby jego doświadczeń. I chociaż starzał się Zelwerowicz, choć choroba w ciągu ostatnich 6 lat osłabiała coraz bardziej jego siłę — z siebie samego i otaczającej go młodzieży czerpał nieprzebrane zasoby entuzjazmu, energii, świeżości. W roku 1953, pragnąc przyjąć z pomocą ciężko pracującemu i podtrzymywanemu przez młodzież zespołowi teatru rzeszowskiego, pojechał tam Zelwerowicz, mimo wieku i choroby, na gościnne występy. Kurację w uroczym szwedzkiej miejscowości Salziabad przerwał dlatego, żeby nie opuścić inauguracji nowego roku w warszawskiej Szkole Teatralnej, gdzie był dyrektorem honorowym. Być może, że tym czynem, tak dla niego charakterystycznym, przyspieszył nawet rozwój ciężkiej choroby. Tak, aż do końca, wypełniał Zelwerowicz szekspirowski nakaz moralny: „Bądź sam sobie wierny!”

OD REDAKCJI

Z powodu niedopatrzenia wiersz Anny Pogonowskiej pt. „Wrzesień”, opublikowany w poprzednim numerze „Kroniki” ukazał się w zniekształconym brzmieniu.

Początek wiersza winien brzmieć następująco:

Złoty Wrzesień — pamiętam — Pośród drzew konnica,
Zsiadła mleko wynoszą w garach i donicach,
Siostra wraz z dziewczynami podaje żołnierzom,
Oficer wsparł się, złamał o ganek Szpiclerza,
W zwieszonych ręce mapy, nie dopaja szklanki —
A ja stoję u furty — Wiatr miewa mi kartki...
Ibsena dramat — Ból ruchliwie zjawiska
Tych ulanów na serio w owocach i liściach...

Przerywniki na str. 1 i 3 K. Baranieckiego.

W 12 numerze „KRONIKI” ogłoszony zostanie

Konkurs Mickiewiczowski

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK
DRZEWO DO SWEGO CENIA

„Choć kształt mój dosyć ściśle na ziemi odzwierciz,
Zieleni mej ni stumu mego nie powtarzaj”.

BEZ I CHRZAN

Gdy na wiosnę zapachniał na galezi bez,
Rzekł chrzan: „Ja też zapachnem mym wzruszom do lez”.

STRUMIEŃ I CZAS

Rzekł czas: „Strumieniu, uczisz szum swój odrobinę!
Jak ty nie hałasuj, jednak szybciej płynę”.

O ZEBRANIU

Zebranie, by nie było nudne i nieżywe,
Powinno być jak fraszka — krótkie i treściwe.

ADAM OCHOCKI

W RAMACH TROSKI
O CZŁOWIEKA

Mówią mi: — Ty się przemęczasz!
Jak osioł tyraasz, nie człowiek,
Szybko pójdziesz na cmentarz,
Sznuj cokolwiek swe zdrowie.
Mówią mi: — Piszalbyś rzadziej,
Odsapnij trochę na dłużej...
... Tak jeden z drugim mi radzi
Dobry kolega... po piórze.

I. ILF i E. PIETROW

Zagadkowa natura

STATEK płynął obok złotych gór Krymskich. W ich wyrazistym rysunku można było dojrzeć wyszczerbione grzywy i wypukłe bity zachowanych koni. Ciepła, niebieskawa woda miłośnie oplukiwała wspaniałą półwysp.

W buforce drugiej klasy miarowo pobrękiwały szklanki. Pasażerowie pili słowo, lub patrzyli, wyciągawszy szyję, w szeroko otwarte, okute miedzianymi ramionami, zachwycali się przyrodą i dzielili spostrzeżenia. W tym samym czasie dwaj zaprzyjaźnieni w podróży pracownicy ze szczybia obwodowego sędzieli nos przy nosie w palarni i rozmawiali na pokrewne obwodowe tematy.

— A więc jedziecie na odpoczynek? — mazało powiedział pierwszy. — Tak. To świetnie. Zdrowy odpoczynek, to, że tak powiem, rzecz konieczna. Tak. Świetnie. A ja, że tak powiem, w delegacji służbowej. Tak. Wyjazd służbowy. Tak. Hm... A więc plan sianokosów przekroczyliście? To rozumie! A jak u was z upowszechnieniem kultury?

Okazało się, że z upowszechnieniem kultury u wczasowiczów również wszystko jak najlepiej.

Opowiadający jeszcze cały szereg emocjonujących, aktualnych tematów i przesiadł do zagadnienia żywego człowieka. Wyszukali wspólnych znajomych, wspominali ulubionych przełożonych i szczegółowo opowiadali sobie o kolegach biurowych.

— Oczywiście różni zdarzają się pracownicy — mówił jadący służbowo, umiejętnie skracając papierosa w bibule z lilowymi wierszami maszynowego pisma. — Zwłaszcza, różni zdarzają się w skali obwodowej — usmiechnął się. — Jest u nas jeden taki pracownik. Niejakiego towarzysza Dubiekin. Nie słyszeście o nim? Tak. Towarzysze Dubiekin. Muszę wam powiedzieć, że to człowiek niezwykły, ale jakoś wyrażę, trochę dziwny. Chociaż nie ma w nim dziwaczności jako takiej. Po prostu jakaś zagadkowa natura i basta! Oczywiście w skali obwodowej. W żaden sposób nie możemy go rozgryźć.

Opowiadający strzepnął palcami, jakby chciał w ten sposób podkreślić zagadkowość i niezrozumiałość natury tow. Dubiekin.

— Epileptyk czy jak? — zapytał wczasowicz wyrozumiałym basem. — Zdarzają się przede wszystkim w praktyce takie wypadki... — Ależ słuchajcie! Jakim tam epileptykiem! Zaraz opowiem. Zagadkowa natura! Tylko posłuchajcie.

Jadący służbowo wysoko podniósł brwi, chwilę zwlekał, potem z zadowoleniem przystąpił — jak łatwo można było zauważyć, już nie po raz pierwszy — do opowiadania.

— U nas wszyscy znają Dubiekin. Jeszcze, gdy był gubernie, pracował w skali gubernialnej, a następnie automatycznie, że tak powiem, przeszedł na szczebel obwodowy. I otóż powiem wam, trzy lata temu, w związku z samokrytyką, zauważono dziwne fakty. Pamiętam, jakby dziś to było, naznaczono Dubiekiną do reżni. Mam, że tak się wyrażę, wspaniałą reżnię i chłodnię. Tak. O czasu nominacji Dubiekiną upłynęło jakieś dwa miesiące i wszyscy stwierdzili, że procent produkcji zaczął spadać. Wśród pracowników również dalo się zauważyć niedbalstwo. A i jakoś produkcja zaczęła kuleć na trzy nogi. Co u diabła? Po-

NA OPAK

Przytaczaliśmy się do tego, że całostrowicze fotografuje na okładce pisma — to dowód szczególnego i przy tym zasłużonego wyróżnienia. Okazuje się jednak, że to jest niedobre przyzwyczajenie. Oto w numerze 34 tygodnika „Film” oglądaliśmy podobną aktorkę L. Kasatkina z odnośnikiem, iż wewnątrz numeru należy szukać recenzji z filmu „Pogromczyń tygrysów”, w którym aktorka gra.

Z recenzji zaś dowiadujemy się, iż film jest słaby, a o aktorce czytamy: „... jest sztuczna i nieporadna w momentach dramatycznych, konwencjonalnie roześmiana w tych partiach, które zapewne wyglądały bardzo zabawnie... w scenariuszu...”.

ROK MICKIEWICZOWSKI

Niedawno Mickiewiczowi poświęcił nieco miejsca „Piomyk” w numerze 18-tym. M.in. z „Piomyka” dowiadujemy się:

„... Młody poeta pokochał siostrę przyjaciela — Maryję Wereszczakównę. Ale rodzice Maryli — bogaci ziemianie — nie zgodzili się na to, aby córka ich poślubiła... biednego nieuczciwca...”.

Marszałek Wereszczaka mógł w owym czasie protestować przeciw małżeństwu Maryli tylko za pośrednictwem spodeczka i stolika z seansów spirytystycznych. Okazuje się, że ten spodeczek i stolik są obecnie własnością autorów, piszących do „Piomyka”.

RZETELNA INFORMACJA

Ze znacznym opóźnieniem (bo to aż z Gdańska) otrzymaliśmy 187 numer „Dziennika Bałtyckiego”. Zainteresowała nas poniższa informacja:

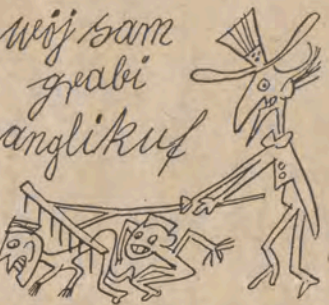
„Państwowy Teatr Powsechny wystawiał przez szereg miesięcy przy niesłabnącym powodzeniu sztukę dramaturga angielskiego Ewana Mac Colla „Zatrzymać pociąg”. Ewan Mac Coll gości obecnie

KAZIMIERZ GRUS

Z zeszytów małego Kazia



tatus muii reze
zlos ameryki młuci
szłome



wój sam
grabi
anglikiuf

Piórka z ogana

w Polsce, dokąd przyjechał wraz z zespołem londyńskiego Teatru Robotniczego (Workshop Theatre), aby wziąć udział w Festiwalu. Z tej okazji Łódzki Teatr Powsechny wznosił sztukę Mac Colla „Zatrzymać pociąg”.

Na przedstawienie w dniu 30 ub. m. przybyli autor sztuki oraz reżyser Workshop Theatre Joan Littlewood. Burzą oklasków powitała gości zebrana publiczność, złożona z przedstawicieli świata pracy Łodzi.

Przypadkiem byliśmy na wspomnianym przedstawieniu! Ale nie widzieliśmy na nim nim... E. Mac Colla. Autora notatki też!

O WIEŚCI GMINNA...

Na ogół nie grzeszę nadmiarem mnemotechniki. W tym jednak wypadku byłem w położeniu przymusowym. Byłem niejako przypiętym do krzesła, spółdzielni usługowej fryzjerów „Jedność”, a mistrz brzytury trzymał mnie dostownie za gardło, wygalałając najczulsze miejsce mego podbródka. A z głośnika radiowego, umieszczonego tuż nad moją głową, płynęły słowa piosenki: „dla uczniów młodszych klas”, powtarzana kilkakrotnie z niesłabnącym zapalem:

„A ta nasza nowa szkoła
przy stawie, przy stawie.
Woda szumi jej wesoło
i prawi, i prawi:
„Niech na wodzie wieści grają,
falują, falują,
że tu w szkole „piątki” mają,
nie „dwójki”, nie „dwójki”.

O wieści gminna! Ty arko przymierz...
zagraj mi, zagraj! czy aby autor tekstu piosenki nadawanej dla całej dziatwy szkolnej naszego kraju — zasłużył na „piątkę”?



— Może jakieś niezdrowe wpływy z zewnątrz?

— Gdzie tam! Początkowo również tak myślałem. Okazało się jednak, że nie podobne. Wprost przeciwnie. Sam wywiera na wszystkich zdrowy wpływ. Wtedy u nas w obwodzie wybuchła gośpa. Mając na względzie wszystkie fakty, nie tylko nie można było natrzeć mu uszu, ale po prostu wypadało go za wódr innym postawić. Zastanawialiśmy się, zastanawialiśmy się i wreszcie postanowiliśmy wykorzystać Dubiekiną w dziedzinie literackiej. Bądź co bądź wartościowy pracownik, ani razu nie karany, nie wzbudzający żadnych podejrzeń. Tak i zrobiliśmy. Ale nie przeszło pół roku, a już pisarze zaczynają pisać. Czytelnicy również. Wydawcy — tak samo. „Cóż to — zapytujemy — skrzywdził was czy co?”. „Nie, — mówią — o tym nie ma mowy. To — mówią — fałszy chłop”. Wice oż, naraził się na przykrości, czy jak? „Bynajmniej — mówią — nikogo nie naraził”. „Może on nie wyrobiony?”. „Ależ, — mówią — bardzo wyrobiony towarzysze, tyle tylko, że nie możemy z nim pracować”. „Dlaczego to nie możecie?”. „A — mówią — on jakiś nie taki, jednym słowem — mówią — jakiś nie taki, a taki jakiś...”.

Zaczęto badać jego przeszłość. A już w biografii trafił się na coś takiego, że... I nie! Zycze wam takiej przeszłości Ociele — chłapnik bez motu. Matka — gospodyni domowa. Po prostu choć pomnik wznosił gościowi! A akuratnie, pieski syn, że wytrzymać trudno. Składki członkowskie, muszę wam powiedzieć, naprzód płaci. Nawet w Towarzystwie Przyjaciół Radia. No, i co z takim zrobić? I pracuje społecznie. Nigdy od niego się nie odmawia. Tak u nas w obwodzie i nie rozważano zagadki tego człowieka. Zagadkowy charakter. Tajemniczo. W swoim rodzaju osobliwość, co jak biblioteka publiczna. Jeden z towarzyszy, człowiek porywczy, zdecydowany, że Dubiekin — po prostu wariat, że tak powiem, zakonspirowany psychopata. Zdarzały się przecież takie wypadki. Cóż! Pod pozorem zbadania domowych warunków zdrowotnych, posłaliśmy do niego komisję lekarską. Sprawdzili. Stwierdzili, że człowiek ten jest całkowicie odpowiedzialny za swoje czyny i cieszy się pełną świadomością. Przeprosił i rozszedł się. Ostatnio przetrzasnął go do Teatru Miejskiego, żeby zorganizować operę.

Opowiadający zerwał się:

— No czyż nie zagadkowa natura? Dalby mi nie wiem co, żeby mi wytłumaczono o co chodzi. Tajemnica przyrody. Nierozwiązana zagadka.

— A może to po prostu dureń? — marszcząc czoło powiedział urlopowicz. — He? Po prostu zwyczajny dureń! U nas w naszej praktyce, zdarzały się przecież takie fakty.

Opowiadający powoli siadł w fotelu:

— Co wy mówicie? Że du-reń??

— Oczywiście, dureń! Jasne jak słońce. Nie ma nad czym się zastanawiać. Dureń i tyle. Opowiadający poczerwieniał.

— Dureń — mruczał — hm... dureń... Tak. Że też ja... Że też my... O, do diabła! Chyba tak i będzie, że rzeczywiście dureń Ojje! Jasne. Dubiekin — to dureń. Masz ci placzek, że też nie domyślił się wczesniej! Jakby to powiedzieć, nie uwzględnił. Przecenił.

I opowiadający żałośnie spojrział na towarzysza.

Statek zadrzał, cofnął się wstecz. Spod śrub, przeginając się i przewracając arbuzowe lupiny, kłębiły się baranki białej piany. Na granitowy brzeg portu w Jalcie poleciała lina do cumowania.

Przeł. M. H.